

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 12 STYCZNIA 1929 ROKU

NR. 2

TREŚĆ NUMERU: Historia tych, co z bronią w ręku zdobywały Niepodległość Ojczyzny — *Zofja rabikowa* Ankieta — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „List do brata” — *Władysław Sebyła*. Jak pani Niuśka zmieniała służącą (c. d.) — *Eugenja Masiejewska*. W mroku „Czarnych Skrzydeł” — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Korespondencja z Ameryki — *Anna Firley*. Z teatrów — *H. N.* Książki nadesłane do Redakcji. Zawodowe wykształcenie kobiet — *Zofja Miszewska*. Jak uzyskać dobrą nieśność kur w zimie — *P.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Kultura Ciała”: Wskazania kosmetyczno-higieniczne w zimie — *Dr. J. Mozołowska*. Kręgarstwo a odmładzanie — *Dr. Stanisław Walery Nowak*. O nadmiernem owłosieniu — *Dr. Jadwiga Mozołowska*. Aforyzmy lekarza — *Dr. Smlarowska*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek „Mody i roboty”: Przy sportach zimowych — *Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

HISTORIA TYCH, CO Z BRONIĄ W RĘKU ZDOBYWAŁY NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYZNY

Listopad 1918 r., szare, zimne dni. Wślad za niemi następująca ostra zima. — Państwo — które jeszcze nie istnieje. — Wojsko, skarb, administracja — w zaczątkach. Gdzie okiem sięgnąć w głąb kraju — zgłiszczą i gruzy, opustoszałe warsztaty pracy, odłogiem leżące urodzajne niwy. A na rubieżach wschodnich — krwawa pożoga nowej wojny, wojny niemal bratobójczej, z dawnymi współobywatelami Wielkiej Rzeczypospolitej. Pozostała — polska ziemia, pozostał — polski naród. Wystarczyło!

Wśród koszmarnych oparów, ze zmagania nieśmiertelnego ducha narodu z przerastającymi siły trudnościami — wyrasta postać kobiety z bronią w dłoni, kobiety-żołnierza, stojącego w obronie zagrożonej Ojczyzny.

Czy rzeczywiście w dziejach narodu naszego jest to zjawisko tak nowe, tak zdumiewające? By temu zaprzeczyć, dość przypomnieć sobie postacie Małgorzaty z Zębocina, Zofji Chrzanowskiej, Emilji Plater, Pustowojtówny i tylu innych, aż do dni ostatnich. Losy narodu naszego wytworzyły tę specyficzną, nie spotykaną u innych ludów, strukturę duszy kobiecej, łączącej w sobie przymioty Mickiewiczowskiej „Zosi” z męskim hartem ducha.

To też kobieta polska nie mogła pozostać bezczynną w czasie Wielkiej Wojny, w której ważyły się losy jej Ojczyzny. Od początku też bierze w niej udział, pracując w oddziałach sanitarnych, wywiadowczych, a nierzadko, kryjąc się pod męskim pseudonimem, walczy w szeregach.

Dopiero jednak najcięższe chwile zmagania narodowych: obrona Lwowa, Wilna i rok 1920 — powołują

do życia prawdziwą formację wojskową kobietą — Ochotniczą Legję Kobiet. Zastęp tych szarych kobiecych mundurów idzie odtąd w pierwszych szeregach, dodając w boju otuchy słabszym, zakłada połączenia telefoniczne wśród szalejącej bitwy, przenosi rozkazy, zbiera rannych pod gradem kul nieprzyjacielskich, a przede wszystkim, broni mienia państwowego. Wszędzie tam, gdzie składy amunicji, mundurów, żywności wabią ciemne męty społeczne, pragnące wykorzystać ciężką sytuację — staje na posterunku żołnierz-kobieta, z karabinem w dłoni, pełniąc wytrwale ciężką, szarą, nieuznaną służbę wartowniczą. I, o dziwo! tam, gdzie dotąd nie pomagały żadne straże — za ledwie w połowie tak liczne warty kobiece uniemożliwiały radykalnie wszelki rabunek, padając nieraz ofiarą obowiązku i walcząc z niebywałymi trudnościami, stawianymi przez ciemne indywidua, którym były nie na rękę, gdyż zbyt gorliwie broniły powierzonego im dobra.

Ten wysoki poziom moralny, jaki wносиły ze sobą legionistki w panujący ówczesnie chaos, był głównym powodem, dla którego Legja, pomimo wielu swych przeciwników, przetrwała do końca wojny, zyskując wszędzie duże uznanie u tych, którzy się z nią bliżej zetknęli.

Ogół opinii polskiej odnosi się jednak niechętnie do tej organizacji, mało zna jej prawdziwe dzieje, a, przypisując często niepopołnione winy — umniejsza tem samem położone zasługi. To też obecnie, kiedy powstała myśl utworzenia Związku byłych legionistek, chcę tu pokrótce przytoczyć dane historyczne, które nieuprzedzonym czytelnikom pozwolą

osądzić czyny tych siostrzyc, z których niejedna powiększyła szereg mogił Nieznanych Żołnierzy.

Od pierwszych dni walk o Lwów kobiety znalazły się w szeregach walczących, bądź jako sanitariuszki i telefonistki, bądź jako żołnierze. Od pierwszych również dni listopada został zorganizowany przez p. Al. Zagórską oddział kobiecy — kurjerski, który utrzymywał łączność między polską i ukraińską częścią Lwowa. Z zawiązku tego w początkach grudnia powstaje oddział „Milicji Obywatelskiej Kobiet”, która dniem i nocą pełni służbę bezpieczeństwa. Już jednak w ciągu grudnia obejmuje i posterunki wartownicze.

Oddział jej zostaje przydzielony do 4 p. art. ciężk. Gdy w maju artylerja opuszczała Lwów, komendant Grupy Art., inż. Kwak, wystosował pismo, z którego urywki tu przytaczam:

„Jako kom. Gr. Art. muszę złożyć podziękowanie legionistkom, które przez zimę całą wytrwały, a to pl. Janocie Kamili, która, jako komend. Oddziału Ochotniczej Legji Kobiet, powierzony sobie oddział prowadziła wzorowo i w takiej prawdziwie żołnierskiej utrzymywała karność, iż przez przeciąg 5 mies. zbierała od swych przełożonych same tylko pochwały. Moje uznanie i najserdeczniejsze podziękowanie wyrażam kapr. Marji Szymańskiej, która swą dzielność i nieustraszoną odwagę okazała dn. 17 lutego, biorąc, jako ochotniczka, udział w kontrataku na Kościarnię, zaś 24 tegoż mies. w strzelaniu z działa na wyprawie Malechowskiej, gdzie zachowała się bardzo odważnie i dawała dobry przykład towarzyszom, obsługującym działą.

W imieniu Najw. Służby tą drogą składam tak lwowskim, jak i warszawskim legionistkom gorące słowa uznania i podziękę za znojną a obfitą pracę“.

W końcu grudnia i początkach stycznia Milicja Kobieca wzrasta liczebnie, zasilana przybywającymi ochotniczkami z różnych stron kraju. Zostaje ona wtedy przekształcona na organizację ściśle wojskową p. n. „Ochotnicza Legja Kobiet“.

Był to okres najcięższych walk, to też nie wahano się przed użyciem sił kobiecych na froncie. Na placówce w Zboiskach np. był oddział szturmowy, liczący 70 kobiet, które odparły 3 zaciekle ataki ukraińców. W tym bataljon O. L. K. liczy już 350 żołnierzy, pod zwierzchnictwem kapt. Al. Zagórskiej, i pełni przeważnie służbę posterunkową i wartowniczą.

Służba ta odbywała się w warunkach niesłychanie ciężkich, w mieście stale bombardowanym i wygłodzonym, a legionistki stawały na wartach bez ciepłego ubrania, w podartem obuwiu, pozostając na posterunku niekiedy po parę dni i nocy bez zmiany, zawsze pełne entuzjazmu i nie cofające się przed żadnem niebezpieczeństwem.

Dowódca wart Dworca Głównego kpt. Peplowski w rozkazie swym stwierdza, że „żołnierze O.L.K.,

nie zważając na żadne obelgi, pełnili służbę sumiennie i wytrwale. Gdy inne posterunki podczas ostrzeływania magazynów opuszczały swe miejsca, to poster. O. L. K. stały; nawet, jak to miało miejsce na Dworcu Gł., jedna z nich straciła życie, a posterunku nie opuściła“. Dalej zaznacza jeszcze, że zamiast 150 żołn., którzy odeszli na front, pełni służbę 80 szeregowych O. L. K., a dzięki ich sumienności stałe kradzieże na Dworcu zupełnie ustały.

Wzrasta również ciągle zapotrzebowanie na warty kobiece, nie tylko we Lwowie, lecz i w innych częściach frontu, tak iż musiano odpowiadać odmownie z powodu braku sił rozporządzalnych. Nadzwyczajne pochwały uzyskał oddział O. L. K., wysłany do Stanisławowa, od tamtejszego komendanta miasta i Dowództwa Wojsk.

Od tego bezimiennego, szarego zastępu wartowniczek raz poraz odrywały się rzutniejsze jednostki i szły na front. Do 5 p. art. pol. odkomenderowane zostały: Kowalska, Wasilewska i Stokowska. Do 40 p. strz. lw., po ukończeniu kursu karabinów maszynowych, odeszły: Kremerówna, Wasilkowska i Chorzębianka. — O wszystkich wyżej wymienionych dowództwo Legji otrzymało pisma pochwalne, które trudno mi tu podać z braku miejsca; we wszystkich tych rozkazach podkreślano odwagę, poczucie obowiązku i korzystne oddziaływanie na podniesienie poziomu sprawności bojowej i moralności w oddziałach, do których przydzielone były legionistki.

Mimo wszelkie zasługi, położone przez Legję, pewne niechętnie jej czynniki w Armji pracowały nad jaknajszybszem zakończeniem tego „epizodu“ wojennego. Wystosowane zostało pismo przez Dow. Wojsk P., dążące do likwidacji O. L. K. Pismo to przyszło do Lwowa wtedy, kiedy Dow. Wojsk Wschodn. wydało rozkaz popierania werbunku do Legji Kobiet. Potrzeby życia okazały się silniejsze i Legja istniała dalej. W czerwcu liczyła już 400 ludzi, a zapotrzebowanie na eskorty i warty wciąż rosło.

W maju 1919 roku powstała 2 Ochotnicza Legja Kobiet w Wilnie. — Komendantkami jej były: Orleńska, Paszkiewicz i Gestrówna. W lutym 1920 r. 2 O. L. K. liczy 575 legionistek, pełniących przeważnie służbę wartowniczą, a w gorących dniach 20 r. na froncie, z bronią w rękę.

O zapotrzebowaniu sił kobiecych świadczą cyfry: wtedy, gdy 360 leg. pełniło służbę wartowniczą, zapotrzebowanie wynosiło 550. Dowódca frontu, gen. Szepetycki, w piśmie swem zaznacza, że „utworzenie 2 O. L. K. okazało się w skutkach bardzo dodatnie. Dow. Frontu pragnęłoby stan liczebny 2 O. L. K. znacznie pomnożyć“.

Mimo wszystko, koniec roku 1919 i początek 1920 r. był dla Legji ciężki, gdyż ani jej nie likwidowano, ani nie dawano możliwości dalszego rozwoju. — Dopiero wiosna 1920 roku przyniosła zwrot raptowny.

Zbliżająca się nawała bolszewicka zwróciła uwagę na usługi, jakie oddać mogą Państwu ofiarne legionistki. Następuje reorganizacja Legji. Zostaje postanowione, że przy każdym Dow. Okręgu Gen. ma być sformowany bataljon kobiety, przeznaczony do służby pomocniczej. Główna Komenda jest przeniesiona do Warszawy. Przy Min. Spr. Wojsk. utworzono Wydział do spraw O. L. K. Kierowniczką Wydziału, jak i dowódczynią Legji, pozostaje maj. Zagórska. Dowództwu temu podlegały: bataljon lwowski, wileński, kompania zapasowa w Warszawie, bataljony wartownicze: warszawski, krakowski i poznański, oraz mniejsze oddziały w Grudziądzu i Przemyślu.

W sierpniu 20 r. został utworzony „na ochotnika” bataljon linjowy, liczący 400 ludzi, który w czasie obrony Warszawy miał sobie wyznaczony osobny odcinek Nr 1. W jaki sposób Legja wywiązała się z powierzonych jej obowiązków, niech stwierdzą słowa ówczesnego ministra Spr. Wojsk. gen. Sosnkowskiego:

„Oceniając całość dotychczasowego działania O. L. K., wyrażam moje podziękowanie i uznanie Dow. O. L. K., Dowództwom poszczególnych oddziałów, oraz całemu składowi Legji za niestrudzoną i pełną poświęcenia pracę w nader trudnych warunkach”.

Koniec roku 20—to początek okresu ogólnej demobilizacji, który dla Legji stał się równocześnie okresem nowej pracy organizacyjnej. Liczne protesty, które napływały do Min. Spr. Wojsk. na rozkazy demobilizacyjne O. L. K., skłoniły odpowiednie czynniki do utworzenia szkół wojskowych dla przygotowania zastępu kobiet do pracy pomocniczej w armji. Mj. Zagórska wydaje rozkaz nadzwyczajny do żołnierzy O. L. K., powołując ich do dalszej pracy dla dobra sprawy narodowej. Szkoły powstały w Krakowie i Po-

znaniu, z kursem podoficerskim i oficerskim. Przeprowadzając demobilizację oddziałów wartowniczych, dłużej zachowano oddział wileński, ze względu na specjalne warunki polityczne, tam panujące. W Warszawie ostatnie posterunki O. L. K. ściągnięto 10 lutego 1921 r. Przeglądając listę nazwisk byłych legionistek, aż nazbyt często czytamy dodane wyrazy: — zabita, lub zmarła z ran.

Z tego krótkiego zarysu dziejów Legji wynika wyraźnie, że ani mundurów wojskowych napróżno nie nosiły, ani chleba państwowego darmo te dziewczęta nie jadły.

A jeśli wrogowie Legji zarzucali pewne fakty nieodpowiedniego zachowania się legionistek, to, na nieszczęście, padały one niesłusznie ofiarą tych kobiet, które w ówczesnym chaosie z różnych innych przyczyn nosiły także mundury wojskowe i niejednokrotnie nieodpowiedniem zachowaniem się zwracały na siebie uwagę.

Dla historii Wielkiej Wojny te zarzuty nie będą istniały. Pozostanie heroicznym czynem kobiety - polki.

Kto wie, czy w naszych powojennych, obecnych stosunkach, nie odegrałyby dodatniej roli owe kadry legionistek — wychowanek szkół wojskowych, wpajając w młode dziewczęta poczucie obowiązkowości i karności, a równocześnie wnosząc do zajmowanych przez nie stanowisk ten wysoki poziom moralny, jaki towarzyszył im w pracy podczas wojny? Nie to jednak jest obecnie sprawą aktualną. Aktualnem jest stworzenie Związku b. legionistek, nad czem pracuje mj. Zagórska. Połączenie w jedną organizację rozproszonych po kraju dawnych uczestniczek Legji, dla wspólnej pracy w dobie pokoju nad coraz świetniejszym rozwojem tych ziem ukochanych, z karabinem w rękę bronionych.

Zofja Drabikowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

ANKIETA

Nie tak dawno w jednym z pism warszawskich zjawiał się artykuł, gdzie—nie pamiętam, z jakiego już powodu—autor bronił Polaków, że nie są brudni. Przeciwnie: stwierdził na podstawie jakichś zawiłych obliczeń porównawczych statystycznych, że w Polsce wydankuje się na głowę mieszkańca więcej jednostek wody, niż w owej innej Arkadii. I że dowodzi to jasno, iż Polacy nie są wcale niechlujni.

Ha! Możliwe, że i tak. Możliwe nawet, że, z nieznanymi mi powodów — na głowę (dosłownie) naszych współrodaków wypada więcej wody, niż gdzieindziej. Upierałabym się jednak, że na...nogi—bezwzględnie jednak—nie! Wystarczy na to być w jakimkolwiek większym, a demokratycznym zrzeszeniu, zwłaszcza w lecie — od kościoła do tramwaju włącznie. Statystyka wtedy nie wskórałaby nic wobec zwycięsko parującej

w powietrzu, przykryj rzeczywistości, przed którą odwracamy twarz i zatykamy uraźone niemile nosy. Ochl! łazienka w Polsce nie jest przyjacielem domu! Ani potrzebą pierwszej konieczności, bez której nie buduje się poprostu mieszkania, tak, jak go się nie buduje bez dachu, czy pieca. Jest artykułem zbytkownym, dostępnym tylko niektórym uprzywilejowanym sferom; a czy i te sfery korzystają z niej w znakomitej oziągłości?... Nie śmiałabym twierdzić! Dzwonki i łazienki są u nas, nawet w średnio zamożnych i przyzwoitych domach, chronicznie nie dzwoniące i nie kąpiące, albo stale w chorowitym stanie naprawy. Sakramentalny napis na drzwiach: „Dzwonek nie dzwoni: proszę pukać...” stał się poniekąd obrządkowym, jak ongiś litery, kredą znaczone na Trzech Króli. I dlaczego by nie wprowadzić od razu staroświeckich, ale zato bezzawodnych, kolatek?

Wracając do łazienek i polskiej czystości, czyż można wątpić, że piszący o niej autor miał najlepszą i zrozumiałą intencję? Niemilo jest wytykać wady swemu własnemu narodowi, zwłaszcza, jeżeli są trochę, lub nawet bardzo, ośmieszające, czy upokorzające. Daleko milej, szlachetniej i popłatniej nawet moralnie i faktycznie jest podnosić jego cechy dodatnie. W danym wypadku autor nietylko wychwalał, co widocznie się bronił przeciwko zarzutowi, contra tej polskiej czystości przez kogoś wytoczonemu. Nie wiem, w jakiej był wytoczony formie; może w takiej, że i ja bym się zbuntowała i zaczęła bronić nas przeciwko przejawskawionym zarzutom? Jeżeli jednak sprawę stawiać poza nawiasem dyskusji i obrony, to, niestety: muszę wyznać, że co do tej naszej czystości mam poważne, a poważne zastrzeżenia.

Gdyby można było przeprowadzić statystykę, co do używalności łazienek w domach warszawskich, jako najbliżej mnie w tej chwili stojących, naprawdę myślę, że wypadłaby makabrycznie. Łazienka u nas jest, jak powiedziałam, artykułem zbytku. Ludzi, którzy się kąpią codziennie, którzy poprostu łazienkę uważają za obrządek poranny, czy wieczorny, narówni z ogoleniem lub uczesaniem się,—jest niezmiernie mało. Jest ich tak niezmiernie mało, że nie wiem nawet, czy, jako liczba, mogą ważyć w statystyce wogóle. Są to przeważnie dwa odłamy: bardzo zamożni światowcy, którzy przyzwyczaili się w ciągłych pobytach zagranicą do trybu tamtejszych wielkich hoteli o apartamentach, bezwzględnie zaopatrzonych w łazienkę własną, i wogóle do zabiegów hydropatycznych, przez Zachód stosowanych w codziennym życiu niepomiernie powszechniej i szerzej, niż u nas. Są to ludzie, których dobrobyt postawił już na stopniu tej kultury osobistej w sprawach zewnętrznej o siebie i swoją powłokę cielesną staranności, że jest dla nich konieczną i naturalną częścią porannej toalety, jak grzebień i szczotka dla innych, mniej uprzywile-

jowanych, sfer. Tacy się kąpią, i łazienki ich są pracowicie wyzyskane.

Druga kategoria—to kobiety, dbałe o swój wygląd i urodę, które łazienkę traktują właśnie hydroterapię: jako środek, wspaniale podtrzymujący i zachowujący urodę, niezależnie od jej kwalifikacji. Znakomitą część tej kategorii kobiet wogóle stanowią wszelkiego typu kobiety sceniczne—artystki, których być, albo nie być, zależy od zmarszczki, pary i masażu. Drugą część stanowią kobiety światowe i zamożne, poświęcające swojemu wyglądowi lwia część obrządków porannych i wieczornych, i któreby się bez łazienki nie umiały obejść tak samo, jak bez chusteczki: jest to przedmiot pierwszej potrzeby, pókój napewno najstaranniej obstawiony i najpilniej uczęszczany na długie godziny zabiegów. U tych łazienka funkcjonuje sprawnie, a jeśli się psuje, jak i gdzieindziej, to nie na dłużej, niż elektryczność, po którą się telefonuje na Pogotowie elektryczne, i znowu jest.

Do tych dwu zasadniczych dołączyłaby się trzecia grupa poprostu zamiłowańców łazienki. Takich, którzy, nie będąc specjalnie ciału poświęceni, wdrowyli się w ten czy inny sposób do kąpieli, jako do środka czystości i jednej z większych przyjemności osobistych i usiłują w tych czy innych warunkach od swoich zamiłowań nie odstąpić. Jeżeli mają własne mieszkania z łazienkami, nic prostszego — o ile jednak nie—biada takim nieszczęśnikom! Jeżeli mieszkają w hotelu, czy pensjonacie, cena kąpieli stanowiłaby tak znakomitą nadwyżkę w rubryce miesięcznej, że stałaby się zbytkiem nad miarę. Jeżeli zaś mieszkają prywatnie... Niech mi pokażą panią domu, któraby miłym okiem widziała lokatora, czy lokatorkę, używających codziennie jej łazienki! Przyjawszy nawet, że jest gazowa i daje się łatwo zagrzać. A jeśli prztem jest do napalenia węglem, i Marysia, czy Kasia właśnie nie ma czasu, albo niema węgla, albo w wannie moknie właśnie bielizna, albo właśnie sypia tam, wobec kryzysu mieszkaniowego, przyjeżdżna kuzynka? A wieleż jest mieszkań, gdzie wanna wogóle jest zamknięta, bo ciecze (naprawa przyczyni tyle kosztu i kłopotu, a komu to, właściwie, tak bardzo jest potrzebne!...) albo też zakryta jest deską, na której urządzono spiżarnię; albo też trzyma się w niej—to tak poręczniel—węgiel i drzewo; albo ma jeszcze tysiąc innych zastosowań. Tylko nie kąpiel! Średnie mieszkanie trzypokojowe z łazienką nie może sobie poprostu pozwolić na zbytek codziennej — licząc, że mieszka tam pięć, sześć lub więcej osób — kąpieli. Są w niektórych domach soboty czy piątki, kiedy łazienka uroczyście się pali i dzieci oraz starsi idą do kąpieli. Ale jest to już obrządek i uroczystość. O łazience osobistej, każdorazowej, momentalnie nagrzewającej się i bezboleśnie funkcjonującej bez zatłoczonych rur, czy złamanych kranów i dymiącego pieca — w przeciętnym mieszkaniu

warszawskiem niema jeszcze mowy. To—długa i kosztowna przyjemność!

Nie sędzę, ażeby w innych miastach polskich, z wyjątkiem może dzielnic zachodnich, bardziej już w tryb zachodni wprawionych, działa się inaczej, czy lepiej. A teraz—weźmy wieś.

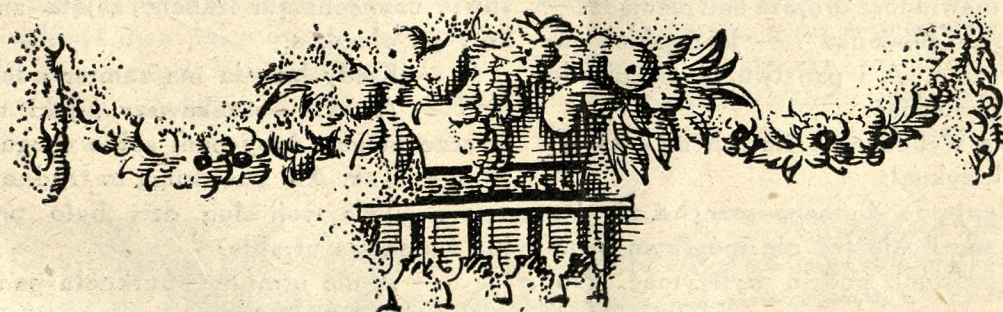
I oto tu następuje, mojem zdaniem, rozpacz. Niech mi pokaże optymistyczny autor, jak, kiedy, gdzie i w czym kąpie się polski chłop? Chłop, który przecież pracuje czarno, mieszka gromadnie, a zmienia odzież niechętnie? Niech mi powiedzą, dosłownie, naocznie, małemi, śmiesznemi określeniami, jak się ta chłopska rodzina myje na codzień i na święto? Na codzień wiemy, że... pod studnią. Jak pysznie się można umyć, pryskając na ręce, zgrabiając od zimna, lodowatą wodą—każdy sobie sam w duszy dośpiewa. Zimna woda tylko odświeża, bynajmniej nie rozpuszcza zanieczyszczonej, tłustej warstwy, która okrywa po dziennej pracy twarz i ręce. Brud, pot, tłuszcz, osady!

Gdzie się to wszystko podziewa, jak zmywa? Przypuśćmy nawet, że się myje w miednicy, w izbie. Jak często? Jak starannie? Czy wszyscy członkowie rodziny? I gdzie? czy przy wszystkich innych? I jak dalece mogą w takim razie umyć się naprawdę? I czy nie stokroć wyżej stał zwykły, ciemny chłop rosyjski, który miał zawsze—taki już zaprowadzono od praczasów ładl...—przy swojej kurnej, nędznej nieraz izbie, jednak własną dobudówkę opodał, ze sławnym naparem i miotłą z witek, którą się smagał aż do pręgi: „banię”? I po tygodniu mycia lub niemycia, analogicznego do naszej podstudziennej terapii, siedł w sobotę wieczór, starodawnym uświęconym obrzędkiem, z czystą koszulą do „bani”. Można zaręczyć, że wyparowywał, wyparzał i wysmagał ze skóry całotygodniowe naleciałości z nierównie lepszym zdrowotnie i schludnościowo skutkiem, niż może to zrobić nasza wieś, gdzie karczma jest zawsze i obficie, a łaźnia—jakoś nie zdołała się przyszczepić. I mówmy, co chcąc, wieś nasza jest brudna—brudna, brudna, brudna! Bo nie miała jeszcze swego Piotra Wielkiego, satrapy, któryby przymusowo kazał, z harapem

w ręku, władzy najbliższej gminnej—uczyć ludzi kąpać się, strzyc się i myć.

Otóż sędzę, że taki przymus nie byłby nawet konieczny, jakkolwiek niziny każdego narodu są dzieckiem, które trzeba uczyć schludności przymusem, a ono się opiera i broni. Potem jednak może zasmakować. Ale w każdym razie potrzeba jednego: udostępnienia czystości naszej wsi! Najwyższy czas, żeby władze pomyślały o inowacjach w tym zakresie. P. minister Składkowski, który zapisze się znakomicie w dziejach naszego ochędóstwa publicznego, jest, zdaje się, jedynym dygnitarzem, który, mogąc przeprowadzać reformy, rozumie zarazem, że je przeprowadzać należy. Zapewne, wymaga to kosztu i czasu, ale, nadewszystko: wymaga decyzji. Po sanitarnych ulepszeniach czas pomyśleć i o higijeniczno-schludnościowych. Chłop musi mieć łaźnię bezpłatną, zawsze dostępną i odrabianą raczej robotą obowiązkową, niż pieniędzmi jednorazowo (myślę o koszcie budowy i rocznego opałku oraz doglądu). Musi, przywiózłszy raz na rok swoje parę fur drzewa czy węgla, mieć potem prawo (a może i obowiązek?... narazie!) korzystania z łaźni najmniej raz na tydzień.

Chłop musi uczyć się czystości, aby emigrantów naszych na okrętach nie zamykano osobno, skutkiem ich niechlujstwa! I nadmieniam, że grupa kobiet, społecznie pracujących, które się z tem zetknęły, solidnie uchwaliła zgłosić do wglądu p. ministra taki wniosek, ze względu na wiele a wiele związanych z tem spraw, spraw, których narazie nie poruszę, jako że są uboczne, jakkolwiek niemniej ważne. Oby się stało! Nie twierdząc, że jesteśmy niechlujni z usposobienia—twierdząc, że nie mamy żadnych obyczajowo ustalonych udogodnień dla utrzymania schludności: trzeba je dopiero wprowadzić. Robimy pierwszy krok, począwszy od wsi. Panie, które mają z tem do czynienia, i wiedzą, jak stoją rzeczy, proszone są bardzo o zgłoszenie do „Bluszcza”, pod moim nazwiskiem, odpowiednich listów z obserwacjami: Jakie fakty wpadają im w oczy? Co sądzą, że zrobić trzeba i jak? Czy podzielają powyższe zdanie, czy są mu przeciwnie?—Wnioski te przystoczę na zebraniu w tej sprawie. Zrobimy ankietę!



WŁADYSŁAW SEBYŁA

LIST DO BRATA

Mój bracie! Nie jesteśmy już oddawna razem.
Wartki nurt dni nas dzieli, jak szumiąca rzeka.
Nie myślimy już razem nad tem, co nas czeka.
Rzadko grają nam szyny dzwoniącym żelazem.

Ale nieraz pójdziemy pod koło do młyna,
Aby brodzić po śliskim, omszałym korycie;
Utkniemy w stawie, pełnym wody, jako wina,
Zaszyjemy się w żółtem, już dojrzałym życie.

Wykapiemy się w wodzie zmaczonych glinianek,
Będziemy łapać żaby zielone i raczki,
Zapolujemy z łukiem na domowe kaczki,
A wrócimy ze słojem skrzeku i kijanek.

Nasze pułki z papieru, uparte w obronie
Będą sterczeć na stole w sztywnym pogotowiu,
Gdy my będziemy dumać, co jest okrętowi,
Który w morzu miednicy beznadziejnie tonie.



EUGENJA MASIEJEWSKA

2)

JAK PANI NIUSKA ZMIENIAŁA SŁUŻĄCĄ

(humoreska wileńska)

— Masz tobie! — uśmiechnęła się lekko pani Niuska. — Niechże... jakże tam na imię?..

— Helena.

— ... niechże Helena wytłumaczy, dlaczego od razu nie zgadza się na rzecz, która nie jest ani ciężka; ani tak kłopotliwa?

— A już ja nie moga rąk sobie peckać!

— Co Helena gada? Bielizna będzie już czysta! — zawołał pan domu.

— Tak!.. bielizna to czysta... Ale ja panienka jestem i mnie do męskiej bielizny dotykać grzech.

— Awantura! — zdziwił się, podnosząc brwi wysoko, niedoszły chlebodawca drażliwej kandydatki. — Pierwszy raz słyszę! To już głupio ze strony Heleny...

— Mnie moja niewinność droższa nad pieniądze — rozgniewała się nagle „panienka”. — Ja męskich gaciów w ręce nie weźma. A i panstwu niepieknie do grzechu człowieka namawiać.

Tu pani Niuska wybuchnęła śmiechem, a jej popędliwy małżonek krzyknął:

— Jabył Heleny do żadnego grzechu nie namawiał. To wykluczone! Ale też nie mógłbym z tak świętobliwą osobą i dwóch godzin wytrzymać. Proszę uświęcić swoją obecnością inne, godniejsze progi. Żegnam!

— A mnie dobrze mówiła Izabela, że pan tutaj jakiś socjalista — rzuciła Helena na pożegnanie.

„Socjalista” zatrzasnął drzwi za służącą i rzucił się na kanapę zirytowany. Pani Niuska spojrzała na niego triumfująco, ale nic nie powiedziała, bowiem z pod biurka wynurzyła się ich latorośl, wołając:

— Ale kto nam zgotuje obiad, jeżeli nie będziemy mieli kucharki?!

— Przecież miałeś pisać pałeczki. To tak piszesz? — zdziwiła się matka.

Ojciec przez roztargnienie zapomniał zgromić synka za ciekawość, a ponieważ potrzebował odetchnąć po tylu wrażeniach, udał się do kina.

Pani Niuska skierowała się z drepczącym jej po piętach Zbyszkiem do kuchni, gdzie królowała złośliwie uśmiechnięta Izabela, zajęta zmywaniem garnków po obiedzie.

— Kiedy Izabela ma zamiar odchodzić?

— A tak... poczekawszy... Jaki tydzień pobyt jeszcze moga... żeby pani sobie druga dobrała.

— Tak. Ale z tą drugą to trudna sprawa narazie.

— Tyle tych sług dziś było przyszedłszy. Nie już żadna nie utrafiła?

— A nie utrafiła — burknęła pani Niuska. — Nie podobają mi się.

— Musi pan zbrakował?

— A nie pan właśnie, tylko ja — obraziła się pani — Izabela ciągle na pana, jakby pan był tyran jaki, czy co?

— A bo pan zamęczyć człowieka potrafi. Nie pańszczyzna już u nas, dziękować Bogu, żeby i śmiać się człowieku kazali, kiedy nie w humorze. Ja już była Panu Jezusowi mój żal ofiarowawszy, także nie wytrzymała... porugała się z panem na czysto.

— No dość już, dość! Słyszałam!... Nic na to nie poradzę — westchnęła pani Niuska.

— Ot, tylko Zbyszka mnie żal — rzuciła chytrze Izabela. — Przyjdzie jaka polatucha i zmarnuje dzieciuczka, zagłodzi. Odejdzi, Zbyszeczka, od elektryczności, a to zepsujesz. Na, weź jabłuszka, widzisz, jaka piękna. Z rynku dziś tobie przyniosła.

Izabela wiedziała, jaką drogą trafić do zaniepokojonego serca swojej pani. Z zadowoleniem też stwierdziła, że pani Niuska sposepniała i zagryzła zębami dolną wargę w zamyśleniu.

— Ach jej! Ot tobie i na! — wrzasnęła Izabela, a i jej pani usiadła przestraszona na zydelku, gdyż nagle coś zasyczało, błysnęło i kuchnia pogryzła się w ciemnościach.

— A nie mówiła, żeby Zbyszka nie drapałby koło knopki. A niechaj jegol i nafty ani kropli w domu niema... i siarczyki zgubili się.

Zbyszek rozplakał się, czepiając się sukienki matki. Izabela miotała się bezradnie wśród garnków, gdy znów zaterkotał dzwonek przy wejściu.

— Boże mój! co tu robić? Gdzież te zapalki! Obrzydliwy jesteś. Zbychu! Wstrętny! — gniewała się biedna pani Niuska.

— Poleca przynieść z bufetu siarczyki — zawołała Izabela.

Zapalono świecę i Izabela pomknęła drzwi otworzyć, a za nią pani Niuska ze Zbyszkim, jak ómy za jedynym światłem w mieszkaniu.

Na progu ukazała się rosła postać kobieca i rzekła donośnie:

— Czy tu potrzebna służąca?

— Tu! tu! — zachłysnęła się niechętnie Izabela — Zabieraj, Zbyszeczka, świeca, o ja podbiegna montera sprowadzić.

Przy mdłym blasku świecy pani Niuska zdołała spostrzec, że nowoprzybyła jest okrutnie brzydka i niesamowicie wysoka. Zbyszek tak był pochłonięty jej widokiem, że włożył dwa palce do ust, trzymając się mocno spódniczki mamusi. Pani Niuska była zupełnie zniechęcona i nie mogła się zdobyć na zwykłą w takich razach indagację.

To też energiczna kandydatka sama zaczęła ją rozpytywać i dowiedziała się powoli wszelkich szczegółów. Śmiała się też, pokazując olbrzymie, wystające zęby, i zgadzała się na warunki, które jej ofiarowała pani Niuska. Zanim oszołomiona chlebobawczyni zdołała się zorientować, już służąca wręczyła jej swoje świadectwa i papiery oraz zakomunikowała, że kuferek swój może przynieść jutro. To wyrwało panią Niuskę z osłupienia.

— O, nie! jeszcze mam dawną służącą. Ona dopiero za tydzień odchodzi.

Kandydatka spochmurniała.

— Jak ma odchodzić, to niech odchodzi — rzekła niechętnie. — I sama nie je, i drugiemu nie daje... A my z panią dobrze żyć będziemy... zobaczy pani — dodała głosem, który ujął panią Niuskę. Cóż? Może to rzeczywiście jakaś sympatyczna — mimo dziwacznej powierzchowności — osoba. Mówi dość poprawnie, zaręcza, że dzieci lubi.

Właśnie w tej chwili nowa służąca wyciągnęła rękę do Zbyszka.

— Chodź do mnie, malutki! — rzekła. — Poznajomim się. Będę tobie bajki opowiadać.

Zbyszek otworzył usta jeszcze szerzej, a potem wrzasnął wniebogłosy, wciskając się w popłochu pod biurko. Panią Niuskę ukuło coś w serce. Jakto? ma zostawić na pół dnia synka pod opieką osoby, której on się będzie obawiał? Ogarnęło ją zwątpienie. Ale nową służącą niełatwo było zbić z tropu. Poszła wyciągać Zbyszka z pod biurka. Zbyszek kopał ją nogami i kwiczał, jak prosiatko. Pani Niuska usiadła bezsilnie na kanapie, myśląc:

— Ależ ona i mnie gotowa steroryzować!

Właśnie wpadła Izabela.

— Co tu panna ze Zbyszkim wyrabia? — krzyknęła groźnie. — Zbyszeczka, kótenka, uspokój się, serce moje!

Zbyszek schował się pod brudny fartuch Izabeli, zanosząc się od płaczu.

— Ja nic nie wyrabiam — odrzekła nowa, której czarna sylwetka dziwnie przypominała pani Niusce Don Kichota. — Przyjęłam tu obowiązek, to chciałam z dzieckiem zaznajomić się. Proszę mi uwag nie robić, bo tu jest pani od tego.

— Widzieliście! Ktoż wie, jakie znajomienie się, kiedy dzieciuszek tylko co od strachu nie umarł? Ledwie przyszła, a już wzięła się rozporządzać. Poczuj, musi, Zbyszeczka, że chytra twoja dusza.

— Niechże Izabela idzie ze Zbyszkim, bo mi głowa pęka — odezwała się pani Niuska.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

W MROKU „CZARNYCH SKRZYDEŁ“

Pisząc „Miasto mojej matki“, Kaden podchodził do duszy dziecka właśnie tak, jak się przystępuje do kwiatu. Nie dotykał go dłonią, ale rozdmuchiwał stulony pęk ciepłym oddechem, miłującą emanacją serca, jakby w obawie, żeby nieopatrznie dotknięciem nie spłoszyć tajemnicy istnienia, drzemiącej w jego wnętrzu. I jeżeli nawet z kwiatu trysnęły łzy, albo krew, Kaden umiał nas zasugerować, że to tylko rosa, ożywcza rosa poranka wiosennego, i odchodziliśmy orzeźwieni.

Ta sama siła sugestji, wymierzona w zupełnie odmiennym kierunku i wywołująca wręcz przeciwny efekt, przygniata nas w ostatniej jego książce p. t. „Lenora“. Jesteśmy wpisani w magiczne koło sił fatalnych. Czarne skrzydła podłości, przemocy, wyzysku, nędzy, fizycznego i moralnego brudu, wszystkim ohydą uprawnionego niewolnictwa dwudziestego wieku—cięża nie tylko nad książką, ale i nad czytelnikiem, jak klątwa. Te czarne skrzydła zakryły i pochłonięły pogodnie niebo „Miasta mojej matki“ i „Olszyny“, czysty lazur „Europy, zbierającej siano“, odwany z wszelkich chmur mądrym nad przemijalnością kataklizmów dziejowych uśmiechem. I zapytujemy się sami siebie w zdumieniu: „Tenże samli to człowiek, który wprzód nas tak przymilnie kołysał i hołubił, żądło myśli przezornie otulając w aksamit słów, aby do czynu przynaglało łagodnie, a nie ubodło—tenże samli to człowiek bierze nas brutalnie za kark i twarz przygina do plugawego trzęsawiska, abyśmy zobaczyli zbliżenie na własne oczy, wyczuli węchem, niemal poznali smakiem ohydę błota, rozkładu, padliny?“

Tak jest! człowiek pozostał ten sam, twórca się nie zmienił; tylko zamiast patrzeć wstecz, poza siebie, w zamglone zmierzchem przeszłości uliczki wspomnienia w „Mieście mojej matki“, uliczki, z których każda miała wylot na niebo, zamiast snuć bogomyślnie marzenia o braterstwie ludów w zaciszu Weimaru, na pobojuwerdeńskim, na międzynarodowych łąkach Europy, zbierającej siano, to znów na propagandowej katedrze w Berlinie, gdzie już sam, własnoręcznie to ideologiczne siano przetrząsał, sławiąc jego aromaty i zasługi „Rzymian Wschodu“ wobec słuchaczy, niewyzwolonych jeszcze napewno z pod żelaznego kultu Kruppa—zamiast, jednym słowem, celebrować kadzidlano nabożeństwo wzniosłych emocyj—odrzucał precz szaty arcykapłańskie, zakasał rękawy, ujął w ręce skalpel i nóż i jał się wiwisekcji.

Pacjentem jest terażniejszość polska, pulsująca krwią, żywa, zielona ozimina tysiącznych możliwości, krzewiąca się pozornie samopas—wistocie zależna od mocy podziemnych, które czuły seismograf intuicji artystycznej i instynktu społecznego ujawnia, z martwych dla laika drgań wydobywa ich sens utajony i układa je w zrozumiałe wszystkim nacjom sygnał niebezpieczeństwa: „S. O. Si!“

Mówią, że organizm przed ewentualną chorobą ostrzega bólem. Jeżeli pewien odłam twórców będziemy traktować, jako wyrazicieli instynktu narodowego, czy rasowego, to ich cierpienie, ich bolesne rozdarcia wewnętrzne nie na tle osobistym, ale na podłożu zbiorowym, ich pokłócenie się z rzeczywistością, ich rozłam z otoczeniem—mamy prawo poczytać za objawy choroby, nurtującej dane społeczeństwo, czy pewną jego warstwę. Nie znaczy to bynajmniej, aby sami twórcy byli zdrowi, a tylko społeczeństwo było chore. Minęły czasy proroków i ascetów (jeśli nie brać w rachubę doskonałej sylwetki ideologa-sekciarza, pomyłonego w swej naiwnej świętobliwości prostaka, księdza Kani w „Lenorze“). Wszyscy oddychamy trującymi gazami epoki; nawet, walcząc z nimi i z ich zabójczym działaniem, sami nie wiemy, do jakiego stopnia jesteśmy zatruci. Jad wsiąka w krew, jad z atramentem spływa przez pióra na karty książek. Tem lepiej dla nich i dla czytelnika: rzeczywistość odwraca ku nam z ich kart twarz, pełną grozy, którejśmy dotychczas, narkotyzowani wyziewami „ducha czasu“, nie widzieli lub widzieć nie chcieli.

Tak! groza! to jest istotna oś, niezakłamana dusza, omyte z błota łzami, potem i krwią oblicze „Lenory.“

Ostatnie utwory Kadena były, jak drzewa, rosnące ku słońcu. Słowa jego, których ciężar pozornie odważył, a wartość trafnie i trzeźwo ocenił, unosiły się w przezroczym powietrzu wyobraźni koronkowym baldachimem liści, zawieszonym wbrew prawom ciężenia między nami a niebem. Utrzymywała je w tej zdumiewającej równowadze dyktatorska wola artysty. Chciał, żebyśmy skróś jego słowa widzieli niebo; kazał nam je widzieć; tak nas do niego przyzwyczaił, żeśmy odtąd instynktownie szukali w jego utworach znajomego błękitu, omytego dwiema bliźniaczymi łzami: poety i czytelnika.

Ten ustalony raz nazawsze (jak się zdawało) kontakt krył w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo dla autora. Groził konwenansem, manierą. Jeszcze jeden, dwa tomiki w guście „Miasta“, a udałoby się nam zdefiniować Kadena. Definicja jest najczęściej łupem wojennym krytyka, a klęską autora. Równa

*) Juliusz Kaden-Bandrowski: „Lenora“—z cyklu „Czarne Skrzydła“—powieść. Lwów. 1928. Wydawnictwo Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich — str. 444.

się jego dyskwalifikacji. Mumifikuje sklerotyczny organizm, zamykając go do szufladki martwych kategorii z napisem: „Lasciate ogni speranza“. I obiecujący lub sławny już autor zostaje „czcigodnym“.

Kadena nieprędko będziemy mogli ubrać w tę oplakaną „czcigodność“. Bo kiedy mamy złudzenie, że zaczyna oto porastać ślimaczą skorupką pewnego genre'u pisarskiego, ten zdumiewa nas raptem lwim skokiem swych zakonspirowanych możliwości. Stało się tak i teraz. Niebo dzieciństwa posłużyło za odskocznik do piekieł. Tem piekłem jest Zagłębie, jest nasz świat hutniczo-górnictwa. Jak biegły pływak, Kaden rzucił się weń głową nadół. Nie ześlizgnął się po powierzchni, ale sobą ten świat — powiedzmy to szczerze, tak mało nam znany — nawylot przewiercił. Wyszedł z tej kąpieli odarty ze złudzeń, oblepiony mulem obrzydliwości, parszający błotem i śliną, ponury, nie jak przystało na syna słońca, ale na syna cieniów.

Wrodzona Kadenowi brutalność w ujmowaniu zjawisk, poczucie trywialności, towarzyszącej stale ludzkim gestom i pomysłom, niepomahowana a wymyślna zmysłowość, — bestje, znane nam z „Łuku“ i z „Jenerała Barcza“, ugłaskane, ujarzmione w „Mieście mojej matki“, tutaj wyszły znów na żer. Zamilkły głosy anielskie. Przemówiły instynkty. Stwardniała dłoń artysty. Okrzeła technika.

Ludzie Kadena w „Lenorze“ nie są nadzy, jak greccy bogowie: są obnażeni. Z pod zdartych strzępów snobizmu, łachmanów pozy, świecidełek ambicji błyskają bezwstydną golizną fałszu, świadomej dwulicowości wobec siebie samych, tchórzostwa, które rzadko może się zdobyć choćby na cynizm, wewnętrznej apostazji wobec głoszonych idei, którymi się kupczy na podobieństwo średniowiecznych szarlatanów, handlujących podrabianymi relikwiami. Ci ludzie wszyscy, co do jednego, pławią się w kłamstwie.

Więc najprzód poprawny, nienagannie odziany, sztab mocarzy słowa, gestu i pieniądza; leaderów partyjnych i plantatorów przemysłu, — mówców wiecowych, dyrektorów kopalń i hut. A potem przyboczna straż zauszników, sfera intrygantów, służba łączności między dostojną „góram“, a szarym, pozornie niezindywidualizowanym tłumem robotniczym, — drobni aferzyści pokątnego plotkarstwa, rozdmuchujący płomień nienawiści klasowej poto jedynie, aby przy nim upiec chudą pieczeń osobistej korzyści, ambicji, czy sentymentu. Wreszcie ten szary tłum robotniczy, z którego, jak z calizny skalnej, kilkoma potężnymi ciosami wyłamuje Kaden wspaniałe bryły ludzkie: Lenora, Duś, Martyzel, Martyzelka, Supernak, Supernaczka i inni.

Taki jest rynek ludzki Kadena; wszyscy na nim są, albo będą sprzedajni, bo każdego z nich można kupić: pieniędzmi, karierą, posadą, nędzną miesięczną pensyjką, podwyżką płac, ciałem kobiecym, chwilą rozkoszy, albo wreszcie złudnemi obietnicami rewolucji.

Dwóch tylko ludzi stoi narazie poza kręgiem pokusy: Duś, robotnik-komunista, bo jest zbyt twardy i ideowo nieustępliwy, i Tadeusz Mieniewski, syn lidera socjalistycznego, poprostu dlatego, że jest jeszcze zbyt „zielony“, duchowo zbyt wiotki, bez wyrobionego ideowego pionu; wszystkiemu się przypa- truje i ma na sprzedaż nie siebie, ale wynaleziony przez siebie „Włazolin“.

Właściwie niewiadomo, poco on się pęta po Zagłębiu, kiedy prościej byłoby, żeby poczekał na ojca w Warszawie, a nie pędził za nim, jak postrzelony, z dwoma garami mazi pod pachą, na wiec partyjny w centrum górniczym. Ale trudno! młodość często bywa irracjonalna, a gary z mazią wprost opatrnościowe. One to zaprowadziły nowoczesnego Odyseusza z lasów borysławskich przez salonik ojcowskiej „ideowej“ kochanki, przez obsychający świeżymi murami dom ludowy, przez izdebkę prowincjonalnej masażystki i drobnej intrygantki, „tej małej Knote“, do pałacu Kostrynia, gdzie młody wynalazca spodziewa się sfinansować swój „Włazolin“.

Dzięki nim, tym garom, klei się cała akcja powieści, narazie dosyć luźno związana; lepi się do nich całe to błoto, brud, pył węglowy, „ostrużyny ziemniaków“ i opiłki żelazne, kropelki jadu i morze nienawiści, przelewające się przez wręby Zagłębia.

Tak! Tadeusz, choć blade, mętny i zamazany, jak czarodziejskie, acz bierne zwierciadło zdarzeń, jest potrzebny, przede wszystkim samemu autorowi, jest, bowiem, kością, wokół której narasta mięso powieści. Ale nie jest jej osią, ani kręgosłupem. Oś ta tkwi znacznie głębiej, niżby w prostocie ducha mógł przypuścić Tadeusz, młokos, który na złość swemu „staremu“ chce przystąpić do spółki z przedstawicielem wielkiego przemysłu. Dociera ona aż do źródła fermentu, który trawi Zagłębie, jak kwas, a stoczyć je może, jak rak, zanim sygnał „S. O. S.“ dojdzie, gdzie potrzeba. Tem źródłem nie są ani warunki lokalne, ani stagnacja, ani drożyzna, ani walka klas, ale — kapitał obcy, który zaprzągnął w niewolę całą ludność tubylczą, od dyrektora począwszy, aż do pałacza, i patrzy na nią, jak na bydło robocze, oczami plantatora. „Ils mangent des ostrużyny ziemniaków. Słyszało się to wszędzie na świecie. Wszędzie — stale — zawsze. Jedzą ziemniaki, czy banany, czy też ryż, fasolę, czy sago, kukurydzę, czy siemię — i mają za mało. I wszędzie — kauczuku, nafty, węgla cynku, miedzi — też za mało... I ciągle trzeba więcej!“

„Wszędzie jakiś krajowiec łamanym językiem — na Sumatrze, czy w Kongo, czy też na Sachalinie — sprzedaje chytrze swoją nędzę“.

Tak rozumuje kapitał zagraniczny. Odpowiednikiem tego rozumowania może być tylko cichy, ostrzegawczy szept starego tubylca, geometry Falkiewicza, który czterdzieści lat strawił na zdejmowaniu planów kopalni:

— Jesteśmy przecie zawsze o milimetr, o milimetr od nieszczęścia. Milimetr, może dwa, może trzy!.. Jest tam błąd na nowym planie...

Okazuje się, że dyrektor administracyjny, przedstawiciel obcego kapitału, przesunął na planie granicę starych ogni o dwa milimetry.

Przy najdrobniejszej nieostrożności w prowadzeniu robót grozi to katastrofą: pożarem całej kopalni.

W naszych oczach zawiązuje się węzeł tragedji, mocno, a dyskretnie zadzierzgnięty wokół osi, która sięga głębiej, niż romans Tadeusza z Lenorą, niż sprawa Kostrynia z Coeurem, niż zatarg bezroboczych z Radą Delegatów, niż te wszystkie sprawy głośne, pękające z hukiem, a próżne, jak pęcherze.

Ta oś sięga aż do tych głębin, gdzie rozgrywa się walka dwóch odwiecznych potęg: wolności z niewolą. — I tutaj znać lwi pazur Kadena.

KORESPONDENCJA Z AMERYKI

Ostatnie wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych odbyły się tu przy olbrzymim współudziale kobiet. Ich to głosy zapewne przechyliły szalę na korzyść Herberta Hoovera.

Dotychczas nigdy jeszcze nie notowano tak tłumnego stawienia się amerek do urn wyborczych. Zjawisko to prasa tutejsza tłumaczy sobie popularnością haseł wyborczych szczęśliwego elekta. Brzmiały one: 1) „Chleb z masłem dla wszystkich”. 2) „Prohibicja alkoholu musi być utrzymana”.

W amerykańskim świecie kobiecym zawrzało.

Zony robotników, których dobrobyt od czasu prohibicji wzrósł znacznie, zaniepokojone, że w razie wyboru „Al” Smitha, mężowie ich będą mieli możliwość powrotu do kieliszka, powiedziały czupurnie: — Precz z alkoholem! precz ze Smithem! Niech żyje Hoover! — no, i zwyciężyły!

Demokraci, przeciwnicy polityczni partji republikańskiej, która od roku 1921 nieprzerwanie trzyma się u władzy, agitując za swoim kandydatem przeciw Hooverowi, dowodzili, że Ameryce grozi kryzys, że wzrasta bezrobocie, że stosunki w kraju zmieniają się na gorsze, że należy zmienić system rządów itp.

Ostatnie jednak dane statystyczne, ogłaszane w prasie przy końcu roku, dowodzą, że ten pesymizm nie jest wcale uzasadniony. Przeciwnie.

Naprzykład, kwestja mieszkaniowa, będąca obecnie najbardziej palącym zagadnieniem w całym cywilizowanym świecie, rozwija się w Ameryce bardzo pomyślnie. W roku 1928 wydano w Stanach Zjednoczonych na budowę domów o półtora miljarda dolarów więcej, niż w roku 1921, czyli że obrócono na ten cel okrągłą sumę dwóch miliardów trzystu trzydziestu milionów dolarów.

W tym samym czasie podwoiła się tu ilość właścicieli samochodów, wzrosła o 100% konsumpcja elektryczności, w dwójnasób podniosła się suma ubezpieczeń w Tow. Asekuracyjnych; w bankach zaś oszczędności publiczne, wynoszące w roku 1921 — 16 i pół miljarda dol., wzrosły w r. bieżącym do 26 miliardów

i stu milionów dolarów. Zaprawdę, dla polaków są to cyfry wprost astronomiczne.

Współzawodnik Hoovera przy wyborach, „Al” Smith, posiadał jeden jeszcze minus w oczach amerek, przeważnie protestantek: — oto jest katolikiem i, zostawszy prezydentem, mógłby wpływać do pewnego stopnia na wzmocnienie katolicyzmu w kraju; wiadomo zaś, że w Ameryce przeważa religja protestancka, licząca ogromną ilość odmian i sekt.

Herbert Hoover pochodzi z rodziny francuskich protestantów Huberów, która jeszcze w 16-ym wieku, w okresie walk hugonockich, wyemigrowała do Hollandji, a stamtąd przeniosła się do Ameryki.

Hoover jest stuprocentowym amerykańcem, ulubionym przez swych ziomeków typem self-help man’a.

Urodzony w kwakerskiej gminie Iowa, jako syn prostego kowala, musiał ciężkim trudem zdobywać sobie wykształcenie. Ukończywszy uniwersytet Standfort, został inżynierem górniczym. Odtąd rozpoczynają się jego wędrówki po świecie, który okrążył siedem razy dokoła.

Wielki talent organizacyjny Hoovera przejawiał się kolejno na wszystkich placówkach. Przytem człowiek ten, pracując zawsze dla drugich, nie dbał nigdy o zdobycie majątku dla samego siebie. Ileż to razy miał możliwość zostania milionerem! Sposobność taka zawsze mijała jego, czy też raczej on ją.

Działalność Hoovera w czasie wojny, jego wielkie dzieło ratowania ze szpon głodu setek tysięcy dzieci w Belgji i Polsce, jest zbyt dobrze znana, aby ją raz jeszcze omawiać.

* * *

Święta Bożego Narodzenia są w Nowym Kraju jedyną chwilą w roku, gdy business, przez duże, największe B, przestaje być panem i władcą społecznego życia.

Na arenę wkracza triumfalnie dobroliwy Santa Claus (nasz Św. Mikołaj). Podczas jego krótkiego panowania wszyscy amerykanie, od skromnego clerka

czy robotnika do potentata z Wall Street, oddają się niepodzielnie rozkoszom świątecznym; zapominają o swych troskach, przestają zarabiać pieniądze i myślały tylko o tem, aby je wydawać, wydawać...

Niesłychane tempo tutejszego życia codziennego est do tego stopnia nasycone ruchem, iż zdawałoby się, że już nic na świecie nie może go jeszcze spotęgować i przyspieszyć. A tymczasem w okresie świątecznym ruch ten wzrasta jeszcze, aż miasto staje się jakimś nieustannym jarmarkiem, jakimś zwarjowanym młynem. Na jezdni nieprzerwanym, poczwórnym węzłem ciągną samochody; chodnikami płynie, głowa przy głowie, wezbrana rzeka ludzka: od małego do starego—wszyscy objuczeni pączkami.

Trzaskają raz poraz drzwi sklepów, zgrzytają windy, wyładowujące niestrudzenie coraz to nowe rzesze kupujących; jarzą się światła w szybach wystawowych. Wzdłuż murów, na dachach i nad dachami pryskają, mieniają się, migoczą stubarwne lampki niezliczonych reklam świetlnych

Jakieś szaleństwo ogarnia wszystkich. Kupować, kupować! Dla rodziny najbliższej, dla dalszej, dla przyjaciół, szefów, podwładnych, służby,—wszyscy dla wszystkich. Choćby drobiazg jakiś, jakąś bagatelkę! w dniu tym nikt nie może być pominięty.

Bawią się, radują, przygotowują do świąt dorośli,—a co dopiero powiedzieć o dzieciach, o najszczęśliwszych na świecie dzieciach amerykańskich!

Wiedzą one, że Santa Claus nie zapomni o żadnym z nich. Święty staruszek zaprzęga w lesie pięknego renifera do dużych, dużych sanek i niezmordowanie pakuje na nie setki, tysiące, całe góry zabawek. Wysyłają tedy do niego listy, lub poprostu—modlą się:

— O, Santa! czy pamiętasz o stroju indjańskim dla mnie? i o saneczkach? Tylko wiedz, że muszą być najnowszego systemu! Czy aby znasz się na tem?

— Dla mnie aeroplan!—Dla mnie łyżwy: takie z zagietami w górę nosami.—A moje rękawice do boksu? Nie zostawże ich w lesie!

— Dear Santa Claus! a dla mnie lalkę! i żeby miała takie sukienki, jak ja...

Biało-czerwony stary, dobry, najmilszy Święty odpowiada grubym głosem:

— Dobrze, dobrze, o ile będziesz grzeczna, if You are a good girl. Bądźcie spokojne, dzieci: wszyscy, wszyscy coś dostaniecie.

Stany Zjednoczone posiadają silnie rozwinięty przemysł zabawkarski. Około 300 fabryk w roku ubiegłym sprzedało za 200 milionów dolarów zabawek.

Należy przyznać, że nowoczesne dzieci amerykańskie, to nie ci dawni, bezkrytyczni malcy, gotowi do entuzjazmu nad bylejaką lalką, lub ołowianym żołnierzem, takim samym, jakim bawił się ich ojciec, czy dziadek.

O, nie! Dzisiejszy producent zabawek musi być na punkcie swojego towaru „up to date“, to znaczy, musi znać dobrze gusta i wymagania najmłodszego

pokolenia. Jeśli wyrabia pociąg elektryczny, to nie ten dawny, zwyczajny, o jednostajnym typie wagonów. W nowoczesnym malutkim pociągu zostaje uwzględniony najnowszy model lokomotywy, wagony osobowe są długie, Pullmanowskie, wśród nich wagon sypialny i restauracyjny; w pociągu towarowym rozróżniamy cysterny do przewożenia nafty, węgla, wagonychłodnie dla mięsa, czy mleka i t. p.

Dzisiejsze dziecko amerykańskie ma silne poczucie współczesności i to takiej, amerykańskiej, zmieniającej się z dnia na dzień.

Gdy ojciec przyniósł sześciolalnemu Allanowi miniaturowy model samochodu Blanka, mały powiedział, zlekka zaambarasowany: „Dziękuję ci, Daddy; jest mi bardzo przykro, ale będziesz to musiał odmienić, choćby na model La Salle Cadillaca. Blanksem już dziś się nie jeździ: to przestarzała marka.“

Zabawki amerykańskie w swym wyrafinowaniu, pomysłowości i kosztowności przewyższają znacznie najwspanialsze zabawki europejskie.

Oto, na przykład, lalka, przedstawiająca modną dorosłą damę. Jest smukła, szczupła, ma obcięte włosy i wykarminowane usta. Jej wyprawa zaćmiewa bogactwem garderobę niejednej żywej elegantki.

Zajrzyjmy do okazałych sześciu szaf-kufrów, obciążniętych skórą. Co za pajęcza bielizna, ozdobiona haftem i mereżkami! Jakie balowe tualety! A oto komplet od deszczu: płaszcz, nieprzemakalny, takż czapeczka, parasol, kalosze, dobrana do całości torebka!

Płaszczki z prawdziwych futer noszą firmę najbardziej znanych futrzarzy nowojorskich. Nie zapomniano też o swetrach, szalach, rękawiczkach, wachlarzu; ba! w jednym z kufrów znajdujemy nawet miniaturowy neseser z przyrządami do manicure. Nic dziwnego, że taka lalka z wyprawą kosztuje 300 albo 400 dolarów. Widziałam przesliczne małe domki z całkowitem nowoczesnym urządzeniem. Nie brakło w niem telefonu, stolika do herbaty na kółkach, komfortowej łazienki; koroną zaś wszystkiego był małeńki odkurzacz, zbierający naprawdę kurz.

Oto jakie zabawki przywozi Santa Claus dzieciom amerykańskim na Gwiazdkę. Czytając jednak o tych zbytkach, powinniśmy sobie uświadomić, że ten wielki naród pracuje, jak żaden inny na świecie; nie należy mu więc tych bogactw zazdrościć, ale samym pracować i uczyć nasze dzieci, aby kochały pracę i uczyły się pracować w tempie i z wytrwałością amerykańską.

* * *

Na zakończenie—mała wiadomość dla naszych pań-literatek. Parę miesięcy temu, na konkursie najlepszych powieści, ogłoszonym przez redakcję miesięcznika „Woman's Home Companion“, pierwszą nagrodę za powieść p. t. „Father“ otrzymała Mrs. Katharina Holland Brown. Nagroda była nie do pogardzenia... 25.000 dol. Okrągła sumka, nieprawdaż? Anna Firley.



TEATR LETNI

„Kokoty z towarzystwa“ — komedia w trzech aktach
Fr. Lonsdale'a. Przekład J. B. Rychlińskiego. Reżyser Dyr. E. Chaberski. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Rzecz dzieje się w Londynie, bo pisał autor angielski, ale mogłaby się dziać gdziekolwiek bądź. Morał komedji „Kokoty z towarzystwa“, „prześlancowany“ na grunt warszawski, zyskał zresztą aprobatę widowni przy otwartej scenie. Zwłaszcza aplaudował ród męski, zachwycony prawdomównością brutalną p. Ryszarda Sones. Bo sprawa miała się tak:

Żona Ryszarda po dziesięciu latach szczęśliwego małżeństwa, pobłogosławionego dwojgiem dzieci — wpadła w złe towarzystwo. Oczywiście, przyjaciółki i przyjaciele pani Ryty Sones należą do tej samej sfery towarzyskiej, co Ryta, a może nawet do nieco wyższej, niż żona literata Ryszarda Sones. Ale jest to wesoła banda, prowadząca żywot aż zanadto swobodny. Damy korzystają tam z opieki „moralnej“ i materialnej swoich przyjaciół, którzy są jednocześnie przyjaciółmi mężów; panowie są niebieskimi ptakami, hulakami, karciarzami i niejednokrotnie mijają się z t. zw. honorem. Słowem — „lepsze“ towarzystwo!

Ale pani Ryta jest zadowolona, bo, prawdę mówiąc, znudziło ją cnotliwe, jednostajne pożycie małżeńskie. Cielątkowatość tej osóbkki jest zresztą niewątpliwa, a donżuan Ernest Steel już prawie żeglował pod zwycięską flagą. Tylko, że mąż, nie bity w ciemie, a w dodatku kochający żonę, postanowił wyratować nieszczęsne, zabłąkane cielątko. Najpierw błagał, prosił, tłumaczył — potem zakazywał i groził, ale wszystko bezskutecznie. Cielątko było uparte, a Ernest kusił najbardziej kuszącymi słowami. Powiedziała więc pani Ryta prawowitemu mężowi: — Będę z moimi przyjaciółmi! Zaproszę ich na obiad do siebie!

Wtedy mąż chwycił się ostateczności i na ten właśnie wyfraczony i głęboko wydekoltowany obiad przyprowadził — jaskrawe dziewczę z ulicy. Tableau! Jednak po krótkotrwałej chwili zaniemówienia podniosły się wrzaskliwe i parszające protesty. — Tak? — rzekł mąż — nie podoba się wam ta zawodowa panienka? A czemże jesteście wy, piękne panie? Czem wasi przyjaciele? — Pan Ryszard nie dobierał słów, nie owijał w bawełnę. Skandal był, oczywiście, całkowity, a cielątko powiedziało hardo: — Po tem, co zrobiłeś, nienawidzę ciebie!

Z takiego dictum acerbum wynikał w dalszym ciągu: rozwód. A w jeszcze dalszym ciągu rozkaz męża: — Pan Ernest musi się z tobą ożenić.

I byłyby się stały sprawy naprawdę smutne, gdyby p. Ernest miał ochotę do żeniaczki. Nie miał! Więc po długich, mniej lub więcej zręcznych, inscenizacjach małżonkowie pogodzili się, a cielątko udawało, że już teraz rozumie, że już rozróżnia dobro od zła.

Grano komedję Lonsdale'a — tak sobie. Różyci, jako Ryszard, zaperzał się i grzmiał. Lenczewski, jako Ernest, sam sobie nie wierzył, że jest zdobywcą serc. Ryta p. Majdrowiczówny była, owszem, cielątkowata. Broniszówna zrobiła doskonałą Monę, ową właśnie fachową panienkę, wygłaszającą apologję swojego zawodu.

Sztuka podobała się i będzie chyba długo nawracać warszawskie kokoty z towarzystwa. Czy z dobrym rezultatem? Oto pytanie...
H. N.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

- A. Ossendowski „Życie i przygody małpki“. — Biblioteka Iskier. Nakład Książnicy Atlas.
- Dr. F. Burdecki „Podróże międzyplanetarne“.
- Juljusz Werne „Tajemniczy gród w pustyni“. — Bibl. Iskier. Nakład Książnicy Atlas.
- Zygmunt Batowski „Zbiór graficzny w uniwersytecie warszawskim — Nakład Uniwersytetu“.
- Antoni Marczyński „Przeklęty statek“. — Tow. wyd. Rój.
- Pani Morand „Żyjący Budda“. — Tow. Wyd. Rój.
- Teresa Jadwiga „Ciche niewiasty“. — Stow. Pracowników Księgarskich.
- Mary Zula Taylor „Człowiek, który się przebudził“. — 2 tomy. Biblioteka groszowa.
- Roman Umiastowski „Wojna podmorska“. — Główna Księgarnia Wojskowa.
- Teresa Jadwiga „Dworzanin królewicza Jakoba“.
- Henryk Bezmąski „Wspomnienia dzieciństwa“. — Wyd. Mortkowicza.
- Julian Tuwim „Rzecz Czarnoleska“. — Wyd. Mortkowicza.
- Wydawnictwa „Naszej Księgarni“:
- Zofja Rogoszuwna „Przygody małego murzynka i czterech łakomych tygrysów“ — z 20 wielobarwnymi ilustracjami w tekście
- Kazimierz Konarski „Musi być!“ Obrazki z powstania 1863 roku. — Ilustracje wykonał K. Sopoćko.
- Janina Porazińska „Kopciuszek“ — z barwnymi ilustracjami S. Bobińskiego.

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCICKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



ZAWODOWE WYKSZTAŁCENIE KOBIET

Na marginesie.

W szeregu poprzednich artykułów z cyklu zawodowego wykształcenia kobiet starałam się dać zarys poszczególnych zawodów kobiecych, oraz informacje, dotyczące fachowego przygotowania do nich. Nieodzwone do tego celu grupowanie poszczególnych zawodów nastroczało mi duże trudności, gdyż jest bardzo wiele rodzajów pracy, które zawsze będą stały na pograniczu wszelkich podziałów tego rodzaju. Np. nauczycielstwo jest z jednej strony nauką czystą, z drugiej—zawodem najzupełniej praktycznym, wreszcie bardzo blisko dotyka pracy społeczno-oświatowej. To samo można powiedzieć o hafcie i robotach kobiecych, które stoją na pograniczu zdobnictwa, czyli sztuki, i zwykłego rzemiosła.

Wogóle w zawodach kobiecych jest jeszcze wiele niewyraźnych i zatartych linii, co utrudnia do pewnego stopnia zbudowanie jakiegokolwiek syntezy. Linje zasadniczo idą w dwóch kierunkach: znormalizowanych pojęć o pracy kobiecej, to znaczy szycie (haft, bielizniarstwo, krawiecczyzna), gospodarstwo i biurowość, oraz wybijania nowych dróg i zdobywania nowych warsztatów pracy.

Ze szkół zawodowych pierwszego typu najwięcej jest szkół i kursów szycia i haftu. Prawie w każdym większym mieście, a nawet i małym miasteczku, znajduje się pewna ilość szkół tego typu, od najskromniejszych, nie wymagających żadnego prawie wykształcenia, aż do wzorowych zakładów, zakrojonych na szerszą skalę.

Na drugim miejscu należy postawić szkoły przemysłowo-handlowe, kursy buchalteryjne, kursy języków i wogóle szkoły, przygotowujące wszelkie biuralistki, maszynistki, cały szereg dziewcząt, trawiących później życie za biurkiem, nad maszynami... bardzo źle płatnych. Trzeci fach kobiecy, który nie jest dla nas nowością, a mianowicie: gospodarstwo w całej swej szerokiej skali, ma już szkół daleko mniej; można je poprostu policzyć na palcach. To też nasuwa mi się dosyć ponura refleksja, a mianowicie: dlaczego zawody, które kobietom stosunkowo najmniej dają, a najwięcej wymagają trudu, mają tak szeroko rozgałęzione szkolnictwo, a te inne, ciekawsze, lżejsze i popłatniejsze, zadowolniają się 3—4 szkołami na całą Polskę? Prawda, że: „nie odrazu Kraków zbudowano“, ale należałoby się jednak nad tem zastanowić.

W szkolnictwie zawodowym żeńskim panuje więc dysproporcja przykra i szkodliwa dla całej rzeszy kobiet, gdyż tamująca im drogę do usamodzielnienia się w życiu. Jedną z przyczyn tego zła jest przede wszystkim brak dostatecznej reklamy. Jakaś jedna, jedyna ciekawa i pożyteczna szkoła trwa sobie ci-

chutko na jakiejs prowincji, albo przy maleńkiej uliczce wielkiego miasta, ma trochę uczennic. ale niewiele, bo któż wie o niej? A tymczasem całe zastępy dziewcząt łamią sobie głowę nad tem, gdzie iść, o co ręce zaczepić, jakiego fachu się chwycić, aby pod koniec nie paść ofiarą ostrej konkurencji w wychwytywaniu posad.

Tego rodzaju stosunki wyjątkowo wyraźnie zarysowują się przy badaniu drugiej kategorii fachów kobiecych, to znaczy tych nowych, które dopiero torują sobie drogę. Tutaj nawet popyt jest większy, niż podaż. Rozbudzony ruch społeczny i artystyczny wymaga instruktorek i pracownic fachowych, a tymczasem szkół instruktorek gospodarczych mamy tylko 3, kursów zaś i szkół zdobniczych też coś około tego; szkół pracownic społecznych także 3 na całą Polskę. A młodych sił potrzeba ciągle i coraz więcej.

Pomijając już stanowiska kierownicze czy instruktorskie—poprostu nowe fachu kobiece wołają o ręce do pracy. Np. przy Państwowej Szkole Przemysłowej w Łodzi istnieje oddział jubilerstwa, przy Państwowej Szkole Przemysłowej w Warszawie—zecerstwo. Zajęcia wymarzone dla kobiet, ale mamy tylko po jednym kursie tego rodzaju i... średnie zainteresowanie.

Obecnie otwiera się szkoła fabrykantek, mająca na celu przygotowanie dziewcząt, kończących szkołę powszechną, do pracy w fabrykach. Mam nadzieję, iż wzbudzi ona odpowiednie zainteresowanie w świecie kobiet pracujących i zapełni lukę, która była dotychczas w tym dziale pracy kobiecej.

Bo jednak szkoły żeńskie zależą od kobiet. One jedynie mogą zmienić tę ilościową dysproporcję, zadając tych szkół, które im dadzą najlepszy fach w ręce.

I tą drogą jedynie wywalczą sobie nowe pole do pracy, zniweczą przykrą konkurencję i hyperprodukcję w jednej dziedzinie pracy, gdy inna zamiera przy pustych warsztatach. Trochę więcej propagandy i reklamy nawet, zwykłej, amerykańskiej reklamy, nie zaszkodziłoby napewno. Nie wolno nam iść po drodze najmniejszego oporu i w owczym pędzie ślęczyć nad igłą, lub ustawiać długie, męczące kolumny cyfr. Jest tyle pracy niewyzyskanej, świeżej, ciekawej, są nowo-otworzone szkoły; starajmy się je odnaleźć, jeżeli są zbyt głęboko ukryte, wydobyć na światło dzienne i z jednej zrobić 50. Wtedy dopiero kobiety będą mogły powiedzieć, że pchnęły swą pracę zawodową na nowe tory.

Zofja Miszewska.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELĘGNIAREK I HIGJENISTEK W KRAKOWIE

Otwarcie nowego kursu dnia 1 lutego 1929 r. Nauka trwa 2 lata; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie, Kopernika 23.

JAK UZYSKAĆ DOBRĄ NIEŚNOŚĆ KUR W ZIMIE

(dokończenie)

Gdy odmrożenie już nastąpiło, należy razem z tłuszczem wcierać olejek kamforowy.

Omówiliśmy najważniejsze rzeczy z ogólnej pielęgnacji kur, nieśnych w zimie. Są to drobne szczegóły, ale jeśli będziemy o nie dbali, napewno da to nam dobre rezultaty. Z kolei przechodzimy do podstawowej kwestji hodowli kur: do ich żywienia. Jest to kwestja tak obszerna, że trudno ją wyczerpać w jednej pogadance. Kury są dobrze żywione wtedy, jeśli dajemy im odpowiednią karmę pod względem ilościowym i jakościowym. Tak, jak każde zwierzę, kura wymaga pewnej ilości paszy bytowej, dla podtrzymania sił organizmu, oraz karmy produkcyjnej, na wytwarzanie jaj. Układając normy żywienia dla kur, bierzemy pod uwagę potrzebną ilość białka, węglowodanów, tłuszczu, soli mineralnej, oraz stosunek, jaki powinien zachodzić w ilości tych składników. Musimy też pamiętać o dostarczeniu karmy, która zawiera witaminy.

Zwykle przyjmujemy, że kura, ważąca 2 kg., wymaga w paszy bytowej: 4 gr. strawnego białka, 0,5 gr. tłuszczu i 50 gr. węglowodanu. Kura, mająca się nieść, wymaga, oczywiście, jeszcze odpowiedniej ilości paszy produkcyjnej. Ogólna dawka wynosiłaby mniejwięcej: 15 gr. białka, 3 gr. tłuszczu, 60 gr. węglowodanu.

Opierając się na tych cyfrach, zestawiamy sobie odpowiednie ilości i rodzaje pasz, które możemy w gospodarstwie rozporządzać. Pewną ilość soli mineralnych zawiera każda pasza, jest to jednak za mało, tak że wskazanem jest dawać ponadto albo mączkę kostną, w ilości mniejwięcej 5 gr. na sztukę, albo drobno tłuczone skorupki od jaj, węgiel drzewny z domieszką drobno sproszkowanej siarki i soli kuchennej. Najodpowiedniejszy skład tej mieszanki mineralnej jest następujący: dla jednej sztuki dajemy dziennie 3 gramy wapna, $\frac{1}{4}$ gr. siarki, $\frac{1}{2}$ gr. soli kuchennej, 5 gr. węgla drzewnego.

Witamin dostarczamy, dając karmę zwierzęcą, lub zieleninę w stanie surowym. Najlepiej teoretycznie opracowany schemat żywienia nie wystarczy, o ile nie będziemy go dopełniali w praktyce własnymi spostrzeżeniami i dokładną obserwacją. Trudno jest podawać dokładne recepty żywienia, bo przecież to zależy od miejscowych warunków: czy kury mają nieograniczoną swobodę, czy dużo znajdują sobie pożywienia poza tem, co im gospodyni daje, i jaki rodzaj kur hodujemy. Taka ilość paszy, która jest odpowiednia dla kur ruchliwych, o budowie lekkiej, może spowodować zapasienie się kur rasy ciężkiej. Dla przykładu podaję, w jaki sposób były żywione kury na konkursie nieśności, który się odbył 3 lata

temu w kurniku doświadczalnym Uniwersytetu Poznańskiego.

W okresie zimowym kury otrzymywały na sztukę: owsa 35 gr., jęczmienia kielkowanego 10 gr., ziemniaków 50 gr., ospy 20 gr., suszonych ryb 10 gr.

Ponadto dostawały mączkę fosforową wapnienną i węgiel drzewny, oraz zieloną paszę w postaci kapusty, jarmużu i buraków.

Omawiając szczegóły żywienia, należy zaznaczyć, że, chcąc mieć dobre, nieśne kury w okresie zimowym, należy je starannie pielegnować w jesieni, gdy przechodzą okres pierzenia się. Siłą rzeczy, kury mniej się wtedy niosą, organizm przechodzi okres pewnego wyczerpania, trzeba je więc wtedy intensywnie karmić, przyczem konieczny jest dodatek karmy pochodzenia zwierzęcego: mączki rybiej, mięsnej, lub odpadków mięsnych. Bardzo tanim dodatkiem karmy zwierzęcej są chrabąszcze. W maju, gdy chrabąszcze masowo się pojawiają, można z łatwością zebrać ich większą ilość. Należy je sparzyć wrzącą wodą, ususzyć na słońcu, a jesienią i zimą dawać zmielone kurom, które to bardzo chętnie jedzą. Przechodząc do żywienia w sezonie zimowym, musimy uwzględnić, że kury większą część czasu spędzają w ograniczonej przestrzeni, tak iż duże znaczenie ma taki sposób zadawania karmy, aby pobudzał kury do ruchu. A więc: ziarno należy sypać w plewy, przez co kury zachęca się do grzebania. Surowiznę, buraki, liście jarmużu — należy zawieszać na drutach, tak wysoko, by kura musiała podskoczyć, chcąc je dziobem dosięgnąć. Szczególniej ćwikła, bardzo chętnie przez kury zjadana, jest bardzo dobrą karmą.

Ziemniaki dajemy parowane, zwykle z dodatkiem śruty lub ospy. Ospy należy dawać owsiane, jęczmienne, kukurydzowe, w zależności od tego, czem gospodarstwo rozporządza. Należy unikać żytniej. To samo tyczy się ziarna: można dawać wszelkie inne zboża, tylko nie żyto, które jest dla kur szkodliwe.

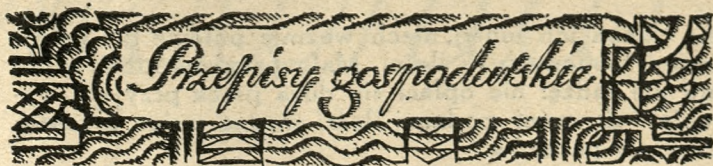
Ziarno zaleca się kurom dawać wieczorem, karmę miękką — rano i w południe, tak, aby ogółem żywić kury zimą trzy razy w ciągu dnia. Bardzo dobrą karmą, specjalnie pobudzającą nieśność, są plewy seradelowe. Dajemy je zwykle sparzone i wymieszane z ziemniakami. Paszę pochodzenia zwierzęcego należy dawać tę samą, którą omówiliśmy przy żywieniu jesienią. Tak samo należy pamiętać o dodatku soli mineralnych. Jedną z doskonałych pasz treściwych, bardzo wskazanych dla podniesienia nieśności kur, a zwłaszcza podtrzymania jej w dnie mroźne, jest makuch. Wystarczy go dawać w niewielkiej ilości: kawałek wielkości orzecha laskowego, a już będzie miał dla produkcji jaj wielkie znaczenie. Wartość odżywczą, jaką posiada makuch, można zastąpić, dając ziarna słonecznikowe, bardzo chętnie przez kury zjadane. Dobrze jest dawać kurom siano

z pokrzyw, a właściwie z samych wierzchołków tej wielkiej pokrzywy, wszędzie u nas spotykanej. Ważną rolę w żywieniu odgrywa pojenie kur. Trzeba pamiętać, aby miały one zawsze świeżą wodę, zdatną do picia, a nie zamrożoną. Do wody można dodawać, zwłaszcza wtedy, kiedy jest najzimniej, odrobinę tranu. Jest to tani i łatwy do nabycia środek, a daje doskonałe wyniki.

W hodowlach, gdzie gospodyni może trochę więcej czasu i starania poświęcać temu zajęciu, radziłabym kielkować zboże w skrzynkach z wilgotnym piaskiem, a gdy skielkuje, dawać kurom; w ten sposób możemy w porze, gdy jeszcze inną zieleniną nie rozporządzamy, dostarczać karmy, która zawiera b. dużo witamin.

Mówiąc o żywieniu kur nieśnych, chcę wspomnieć o nowym systemie żywienia drobiu, który jest obecnie stosowany na wielką skalę w hodowlach zagranicznych. Kurom daje się odpowiednią ilość ziarna i zieleniny, każdą z tych pasz oddzielnie, ale główną podstawą pożywienia jest sucha pasza, zadawana w naczyniach automatycznych. Automatów tych mamy różne systemy; robione są w ten sposób, aby w miarę, jak kury wyjadają karmę, dosypywała się ciągle świeża. W podobnych automatach zadaje się wodę. Przy tym systemie żywienia kury mają stale karmę w kurniku; żadne godziny w karmieniu nie są przestrzegane. Do automatów tych nasypujemy różne rodzaje mieszanek pasz treściwych. Różni hodowcy zagraniczni mają najróżniejsze własne systemy. W jednej z hodowli niemieckich przeznaczono dziennie dla kury 20 gr. otrąb pszennych, 20 gr. śruty jęczmiennej, 10 gr. mąki z kukurydzy, 10 gr. mączki rybniej i 15 gr. mączki mięsnej. Tę mieszaninę dawano w automatach, a poza tem sypano oddzielnie 10 gr. ziarna. Przy tem karmieniu przeciętna nieśność kur jednorocznych w tej hodowli wynosiła 163 jaj.

Jak już zaznaczyłam, w innych hodowlach dają inne mieszanki; w każdym razie ten system karmienia drobiu okazuje się bardzo praktyczny, jest oszczędny i daje doskonałe wyniki. Należy zaznaczyć, że w automatach możemy podawać tylko taką karmę, która nie ulega kwaśnieniu, ani łatwemu psuciu się.



FAWORKI

Dwa jaja całe, dwa żółtka, łyżkę gęstej śmietany, łyżkę świeżej oliwy, łyżkę cukru-pudru, zagnieść z taką ilością mąki, aby ciasto się dało wałkować, już więcej nie podsypując na stolnicy. Wybić to ciasto jaknajmocniej, uderzając niem, co sił starczy, o mocny stół lub stolnicę. Rozwałkować jaknajcieniej, krajać w szerokie na sześć centymetrów pasy, potem na ukos na długie faworki, które przecinać i przewijać przez środek. Smalec mocno rozpalić, próbować kawałkiem ciasta: jeśli się rumieni i spływa na wierzch, można smażyć faworki; jeśli blade i długo leży na dnie, tłuszcz jeszcze zimny. Smażyć do lekkiego zrumienienia; po wyjęciu układać na szarej bibule, aby osączyć zbytek tłuszczu. Gorące układać na półmisku i posypywać cukrem utłuczonym z wanilią.

PĄCZKI

Pół litrem wrzącego mleka sparzyć ćwierć litra suchej, ładnej mąki, wybijać mocno, aby kluski się nie poformowały. Gdy wystygnie, wlać w to dwadzieścia deka drożdży, rozbitych w paru łyżkach letniego mleka, i ubijać dalej; dać podrosnąć w cieple. Gdy ruszy, ubić do białości trzydzieści żółtek z 1 kilo i 20 deka cukru, bardzo drobnego kryształu lub najlepiej pudru, dodać pół laski wanilii, utartej doskonale z cukrem, duży kieliszek araku lub rumu, trzy do czterech kilo mąki, przesianej i ogrzanej. Ilość mąki zależy zupełnie od jej suchości. Ciasto na pączki nie powinno być zbyt gęste. Nie zapomnieć o łyżeczce soli, bez której każde ciasto drożdżowe będzie bez smaku. Nakoniec wlać czterdzieści deka masła roztopionego. Wyrabiać tak długo, aż od ręki odstanie. Dać podrosnąć powtórnie. Gdy dobrze wyrośnie, robić nieduże pączki, układać na deskach, posypanych mąką. Trzymać w cieple, aż ładnie wyrosną. W szerokim naczyniu rozpuścić smalec, próbować kawałkiem ciasta: gdy spływa i prędko się rumieni, można zaczynać smażyć pączki. Kłaść je do garnka stroną wyrosniętą w dół; gdy się zrumienia z jednej strony, przewrócić zręcznie, garnek przykryć pokrywą i dosmażyć zakryte. Tłuszcz powinien być tak gorący, aby dobrze rumienił, a nie palił; powinno go być dużo, aby pączki swobodnie pływały.

Pączki po wyjęciu układać na czystej bibule, aby osiały ze zbyt dużego tłuszczu. Przekładać zaraz, gorące jeszcze, na półmisek i obsypywać obficie cukrem utłuczonym z wanilią. Jeszcze lepsze są pączki, jeśli je natychmiast po wyjęciu z rondla maczać w syropie, a raczej w lukrze ponczowym, zrobionym w sposób następujący: Kilo cukru zagotować z półtorej szklanką wody, sokiem z jednej cytryny i skórką z niej, otartą na delikatnej tarce. Do gorącego syropu wlać przed samem użyciem łyżeczkę esencji ponczowej. Maczać pączki bardzo prędko, aby nie nasiąkły syropem, a tylko uformowała się na nich cienka, szklista powłoka. To jest przepis na bardzo dużą ilość pączków; ko-



CHCĄC NABYC PROSZKI NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĆ ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE, UPORCZYWIE POLECANIE. NAŚLADOWNICTWA W PODOBNYM DO NASZEGO OPAKOWANIU.

mu trzeba ich mniej, niech weźmie połowę lub nawet ćwierć podanych tu ilości. Mało pączków robić w domu nie radzę: nie opłaca się duża praca przy ich wyrobie. Z wyżej podanej ilości można upiec przeszło dwieście pączków.

PĄCZKI-PTYSIE

Dwie szklanki wody zagotować z dwudziestoma deka tłustego masła, na wrzące wsypać dwie szklanki mąki i rozbijać mocno na ogniu, aż ciasto odstanie od rondla. Odstawić od ognia; gdy nieco przestygnie, wbić

po jednym pięć jaj, wciąż ciasto mocno wyrabiając. Wsypać soli łyżeczkę od kawy i trochę tartą cytrynową skórkę. Nie należy do ptysiowego ciasta kłaść cukru, gdyż wtedy mniej rośnie. Gdy się ciasto zaczyna ciągnąć za łyżką, jest już gotowe. Rozpalić szmalec, jak na zwykłe pączki, maczać łyżkę metalową w szmalcu, brać po niedużym kawałku ciasta i rzucać na wrzący tłuszcz. Przykryć rondel pokrywą. Gdy pączki się zrumienią i bardzo wyrosną, wyjmować durszlakową łyżką i obsypywać cukrem z wanilią. Do takich pączków podaje się zwykle konfitury, lub syrop owocowy.

Pani Elżbieta.



Sports



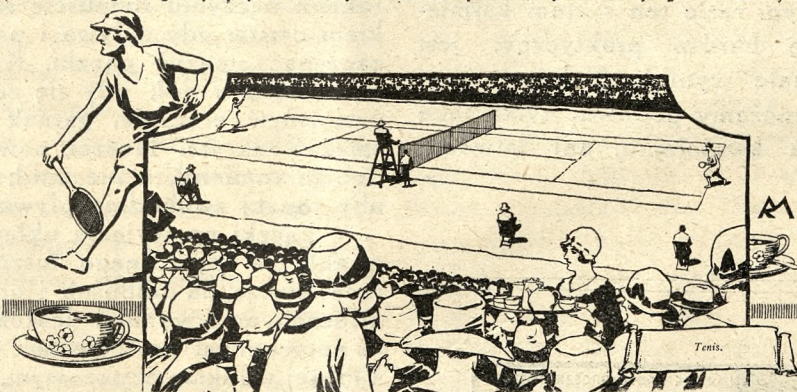
W życiu towarzyskiem Anglii odgrywa sport tak wielką rolę, iż nie tylko od bezpośrednich uczestników zawodów, lecz i od publiczności wymagany jest niejednokrotnie wysiłek.

Częstokroć czekają widzowie od 18 do 24 godzin przed wejściem na boisko, aby zarezerwować sobie możliwie jaknajlepsze miejsce. Nie bacząc na upał, mróz lub deszcz, śledzi publiczność z zacięciem przebieg zawodów aż do samego końca. Nic zatem dziwnego, że w czasie przerw i po skończonych igrzyskach wszyscy pragną filiżanki herbaty.

Wiadomem jest zarówno widzom jak i zawodnikom, iż niema napoju, któryby zarówno pod względem smaku jako też siły ożywczej dorównywał herbacie Lyons'a.

HERBATE LYONS'a

podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.



WŁOSÓW



WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. - GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY



CZOPKI „VARICOL”

HEMOROIDALNE.
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWA-
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). - SPRZE-
DAJĄ WIEKSZE APTEKI. - SKŁAD GŁÓWNY -
APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

Nasza Mównica

P. Maryla Czerkawska-Rudenka.

Z głęboką radością przeczytałam w „Bluszczu“ w sprawozdaniu z VI-go Zjazdu Gospodyń Wiejskich w Częstochowie, że program prac na rok przyszły obejmuje także między innymi walkę z gruźlicą. Wciągnięcie do tej walki wszystkich kobiet nie schodzi mi z myśli od lat kilku. Cóż jest podstawą tak zwanego szczęścia, zadowolenia, dobrobytu i wszelkiej pracy, w każdej dziedzinie?

Zdrowie fizyczne, z którego wypływa bezpośrednio zdrowie moralne.

Co dzieje się z zapalem, energią, zdolnościami, jeśli nie mają jego twardej podstawy? — marnieją. Czasem u wyjątkowych jednostek duch przezwycięża ciało, ale na krótką metę. Co stanie się z domem, zbudowanym na bagnie, z katedrą, wzniesioną na trzęsawisku? Runą, zapadną się. Niegdyś dziesiątkowały ludność dżuma, cholera, ospa i t. d. Dziś, gdy tamte prawie zgnieciono, przyszła na ich miejsce pozornie mniej straszna, lecz, kto wie, czy nie groźniejsza — gruźlica. Gruźlica — trzęsawisko, które, jak błota Polesia, trzeba wszystkimi siłami starać się odwodnić, by budynki w Polsce — chaty i kamienice, szkoły powszechne czy uniwersytety — stanęły na możliwie najsuchszym gruncie.

Nie mówię dzisiaj w imię żadnych wzniosłych ideałów, świętości obowiązku względem bliźnich, piękna pracy dla ludzkości i ojczyzny, — ale tego, co jest mimo wszystkie mniej lub więcej zużyte frazesy i niefrazesy, nakazy religii, wskazania kultury, — najsilniejsze, najbardziej przyrodzone człowiekowi: powołałam się na egoizm.

Walka z gruźlicą — to samoobrona. Podjąć ją powinna każda kobieta dla chronienia siebie, swego domowego ogniska, swych ukochanych.

Wydzierając strasznej chorobie ofiary, ratuje to właśnie, co jej najbliższe: rodzinę. Podając cudzemu zagrożonemu dziecku mleko czy tran, stwarzając poradnie, kolonje i półkolonje, pracując nad podniesieniem higieny, czy wspomagając tylko wedle swych sił finansowych Towarzystwo walki z gruźlicą — czyni to dla swego dziecka, bo ono siądzie kiedyś na jednej ławie w szkole, w kościele, w biurze, w wagonie z tamtem zagrożonem; bo tysiączne sprawy, interesy, uczucia złączą je; bo spłaczą się nieprzewidziane okoliczności i postawią na długo, czasem na całe życie, jedno obok drugiego; a najsilniejszy organizm osłabnąć może, najtęższy — ulec.

Przed czterema laty zorganizował urząd samorządowy powiatu, do którego należą, objazdy lekarskie szkół, na które to objazdy większość „rozsądnych“ ludzi kiwała głowami, uważając je za zbyteczny luksus; cóż się jednak pokazało: — w zdrowej, podgórskiej wiosce, np., na osiemdziesięcioro dzieci zaledwie parę nie miało powiększonych gruczołów (w najlepszym razie). A co się dzieje w miastach i miasteczkach!

Gazety biją w wielki dzwon alarmu, ludzie dobrej woli pracują z zaparciem siebie, lecz rezultaty są stosunkowo niewielkie, gdyż troska o zdrowie ogółu nie ogarnęła szerokich mas; masy są obojętne.

Rząd, na który wszystko się zwala, bo to najwygodniej, robi dużo: przy każdym Starostwie jest oficjalne Towarzystwo walki z gruźlicą — jest (nie wszędzie, lecz w większości) na papierze. A gdy z „góry“ zażądają sprawozdania z działalności, ktoś, obdarzony fantazją, siada, pisze je „na kolanie“, dane statystyczne bierze z powietrza i — ma na jakiś czas spokój.

A tymczasem rozgrywają się ciche, wstrząsające tragedje; która z nas nie brała w nich pośrednio, lub bezpośrednio, udziału? której z nas nie przeniknął serca niepokój, najokropniejszy skurcz serca? — przeniknął, zatargał i po pewnej chwili znikł bez efektu; a efekt powinien był przyjść nie apatią, nie załamaniem rąk, nie jedynie zwiększeniem pieczołowitości wobec swoich, lecz zabraniem się do pracy; do codziennej, twardej, upartej walki z wrogiem, która musi skończyć się zwycięstwem, jeśli w szeregach staną wszystkie kobiety.

Czy zdajemy sobie sprawę, jaką jesteśmy potęgą?

Wierzę, że gdyby kobiety nie chciały, nie byłoby wojny. Wierzę, że gdyby kobiety chciały, nie przyszedłby do Polski ani jeden kilogram przedmiotów zbytku. Wierzę, że gdy kobiety zechcą, niebezpieczeństwo gruźlicy zejdzie do minimum.

Chodzi tylko o to, by przedewszystkiem wiedziały, co grozi ich rodzinom; następnie, żeby to przemyślały i zrozumiały; wkońcu — zorganizowały się. Rzecz jest prosta. Trzeba propagować, wstępować do Towarzystwa tam, gdzie ono istnieje, a jeśli go nie ma — zakładać. Wejść do zarządów, poruszyć, zagrząć, nakłonić, zmusić i działać.

Niech nikogo nie braknie! Niech Babcia pracuje obok wnuczki, elegancka pani — przy biednej wyrobnicy, narodowa demokratka — obok „towarzyszki“! Tutaj niema miejsca na antagonizmy klasowe czy partyjne, na niechęci, zazdrości — tu chodzi o przy-

szłość naszych rodzin, zdrowie nasze, naszych dzieci, braci, sióstr, narzeczonych, mężów.

Zeszłego roku, gdy umarł w miejscowości, w której mieszkam, dziesięcioletni chłopczyk na rozpadową gruźlicę płuc, musiałam użyć całego mego wpływu, by przeprowadzono w chacie jaką taką dezynfekcję; zrobiono ją po długich petraktacjach nie dla siebie: dla mnie, dla dogodzenia mojej „zachciance“!

Wy, kochane czytelniczki „Bluszczu“, pracujcie dla siebie, a zadowolenie, że ulżyłyście niedoli bliźniego, wyleci w tym wypadku, jak najbarwniejszy motyl z larwy egoizmu.

P. Wera Tropaczyńska — Mogilnica.

„Plewą wiejemy nad ziemią. Każdej chwili odejść może miłość, niewstrzymana żywym związaniem. Przerwałyśmy łańcuch istnienia“.

Odebraną nam została, czy same precz rzuciłyśmy, najświętsza radość macierzyństwa. Ciche pracownice na szerokim ugorze świata. Odrębna klasa społeczna. „Samotna“, jak się pisze w rubryce, zatytułowanej „stan cywilny“. Czy jednak?

Jest nas tysiąc—tysiące!—i podczas, gdy jedno, samotne serce bije daleko, w osiedlach wiejskich, czy wśród tłoku ludzi i łoskotu pracy,—odpowiada mu tysiąc takich serc i tysiąc doli, łomoczących takim samym samotniczym rytmem. Siostry. Rozproszone po najostatniejszych krańcach Polski, nieznane i wsiąkle w szary tłum, nieznające się wzajem i o sobie nic bodaj nie wiedzące. Ile nas jest—ów tysiąc, czy tysiące—każda, lub prawie każda głęboko w duszy skryła jakowys święty zew, jakowas bolesną niedolę, i każda, lub prawie każda, wsłuchana w rozterkany głos codziennej, roboczej maszynerji, z premedytacją, lub dlatego, że „tak się ułożyło“, czy „tak trzeba“, przechodzi do porządku dziennego nad wszelkimi „wysokopiennymi“ porywami przynależnego każdemu szczęścia, po ludzku pojętego.

I nie uważa się tego pomijania siebie za coś, co zasługiwać winno na uznanie, podziw, czy podziękowanie jakowejś najwyższej, wewnętrznej instancji.

Jak w pszczelem społeczeństwie, ułożyły się nacje: matki i robotnice. Takie to naturalne, a takie smutne dla tych, którzy się smutków dopatrują!

Nie o smutkach jednak chcę dziś pisać i nie o nowej niedoli, jeno o potrzebie i nowym, być może kiedyś wskrzeszanym, czynie.

Są nas tysiące. O sobie nie wiemy nic, lub tak, jak nic. Każda w swoim zakresie, w swoim ciasniejszym, czy szerszym kółku puszcza w ruch swoje i cudze (częściej swoje) robocze siły, by wielka społeczna machina mogła funkcjonować sprawnie i szybko.

Czy jednak nie zredukowałyby się owe „samotne“ serca bicia i niemocne bunty, które — przyznajmy się—istnieją!—ludźmi wszak jesteśmy—czy nie zredukowałyby się, może niezupełnie, ale do minimum, gdybyśmy stworzyły zwartą pracowniczą ławę i zwarty „samotnych“ kobiet front roboczy? Dla mnie samej dużym bodźcem do pracy, i pociechą, i ostoją byłby pew-

nik wiadomy i oczywisty, że stoi obok mnie ów tysiąc, nietylko wyczuwany sercem i znany ze statystycznych wykazów, ale stale i zawsze świadomy siebie, poczynañ swoich i—samotniczo rzucanych istnień swoich. Tyle nas jest! W tylu środowiskach pracujemy i tak ciężko nieraz pracujemy! Dlaczego nie możemy sobie stworzyć owej ciepłej, serdecznej atmosfery, do której każde niewieście serce tęskni?!

Odebraną nam została, czy same precz rzuciłyśmy najświętszą radość macierzyństwa... Stwierdzamy fakt: „Plewą wiejemy nad ziemią“. Nie powód to jednak do żalonych, a zawsze pewien osad słabości zostawiających, rozpamiętywań. Nie dane nam było założyć ognisko domowe—stworzmy ogniska siostrzane-go ciepła i zrozumienia. Trochę absurdalnie przedstawia się owo ciepło wśród tysięcy różnych istnień niewieścich. Czy jednak? Uśmiechnie się może kto pobłażliwie na ten mój zew. Czy aby uśmiech ten będzie miał rację?

Nawiążmy ścisły, a serdeczny kontakt ze sobą; stworzmy przystań dla siebie; złączmy się w jedno wielkie, siostrzane ognisko, federację związków kobiet, samotnie pracujących. Potrzeba jest, i nietylko potrzeba, ale i konieczność—trzeba jeno chęci, i znów, i zawsze: ludzi chętnych.

Obyż znikły wtedy samotne serca bicia i już w tradycję wchodzące zapracowywanie się dla zabicia podnoszących się z głębi głosów słabości wewnętrznej i buntu „dlaczego?“ — Nie odpowie na owo pytanie żadna federacja i żaden związek, pchnie jednak owe luzem puszczone dręczycielskie myśli poza tory ich codziennego, czy odświętnego bytowania. Da byłej starej pannie, dziś w dzielny typ samotnej pracownicy zmienionej kobiecie, możność wypowiedzenia się, a zrozumienia z naszej, „koleżeńskej“ strony. Owe potwórki słabostek i drobnoustrojowych niedoli wtedy są jeno straszne, gdy się je kryje w cieniu i poraz setny przetrawia ich treść „na samotniaka“. Ukazać im słońca trochę, wywlec z ciemnych zakamarków dusznych, to i milkną, czmychając, gdzie popadnie. Więc—słońca!—a owo słońce, to zrzeszenie i nowopowstała moc zrozumienia masy.

Oby samotnie rzucona w jakimś Zapadłowie, czy Wólce, czy w stolicy nawet jednej, lub drugiej dzielnicy państwa—niewiasta miała z kim kontakt serdeczny zachować i „pogadać“, nie bojąc się niezrozumień i hańby społecznej — plotek, czy zgoła obojętnego wzruszenia ramion—postronnych. Niech niewiasta owa w niedziele, kiedy ruch roboczy ustaje, a kąśliwe przypominki zwykły uprawiać swój żer na zmęczonym i, oczywiście, nieodpornym organizmie wewnętrznym—niech niewiasta owa znajdzie odpoczynek i wytchnienie w „swoim związku“ w mieście, w filjach jego, czy pismach i korespondencjach z nim na prowincji.

Niech się czuje wśród swoich, u siebie — sobą! Tak mało już teraz dobranych sercem i przyjaźnią „kółek towarzyskich“! Tak wypiera na krańce samotności — owe serca — konwenans! Są związki kobiece — pracują — trzeba jednak, by związki te potrafiły oprócz roboczej atmosfery, wytworzyć atmosferę przygodnej, a na moc zwartej rodziny duchowej —

i by się zrzeszyły — i by wyłowiły wśród szerokich ugorów pracujące owe szarego tłumu skry — siostry.

Tyle nas jest, które miłujemy swą pracę i które pracujemy—rozszerzając skalę obowiązku na jak tylko być mogą szerokie granice! Wiele jednak z nas nie potrafi objąć całokształtu onej pracy. Niejako oddalić się od siebie i spojrzeć z boku, wzrokiem obiektu obserwującego, na to, co już się zrobiło, co się robi teraz i co się ma jeszcze zrobić. Niejedne z nas nie potrafią uogólnić swej pracy, a wiadomo przecie, jak wiele takie uogólnienie znaczy!

Uogólnienie to doskonale będzie mógł postawić ów związek—dziś abstrakcyjny. Odświeży on jakoby strumieniem odżywczym rozdrobnioną na codzienny trud — duszę, wskaże jej użyteczność, i moc, i ciężką jej pracę.

Więc znów powtarzam swoje: poznajmy się! i znów: jest potrzeba i konieczność, trzeba jeno chętnych do zorganizowania się i złączenia luźnych związków i samotnie rzuconych jednostek w jeden mocny i twardy front—kobietą, po roboczym trudzie dnia—przystań.

P. Z. R. — Korzec (Wołyń).

Zachęcona odezwą Szanownej Redakcji „Bluszczu“, wysłałam niniejszą korespondencję z Korca, na Wołyniu. Dawno już odczuwaliśmy brak żywszego kontaktu naszych terenów z sercem Polski; niejednokrotnie, przy pracy społecznej, odzywały się wśród nas głosy, iż trzeba nawiązać nić serdeczną i żywą z ośrodkiem myśli i czynów wewnątrz kraju; pozostało to jednak zawsze w dziedzinie projektów.

Odezwa Redakcji „Bluszczu“ stała się dla mnie bodźcem do zrobienia pierwszego kroku i dziś chcę rzucić garstkę wspomnień o pracy kobiet na naszym terenie.

Odkąd poznałam Korzec, dawną siedzibę ksiąząt Koreckich, małą, lecz sympatyczną miejscinę—a było to w czasach przedwojennych—zawsze czułam w niej puls życia polskiego.

Kobiety-polki, wierne tradycji swych babek, uczyły skrycie... Z ogromną ostrożnością, z biciem serca, chylkiem, biegły dzieci polskie, z ukrytą na piersiach książką, na „Fajans“, lub do „Pani Marszałkowej“, aby się uczyć po polsku.

Jeszcze przed zawieruchą światową powstała w Korcu pierwsza prywatna szkoła dla dzieci polskich, w której właścicielka, wraz z ideowo dobranymi współpracownicami, uczyła wszystkiego po rosyjsku dla Inspektora, a po polsku — dla „Polski“.

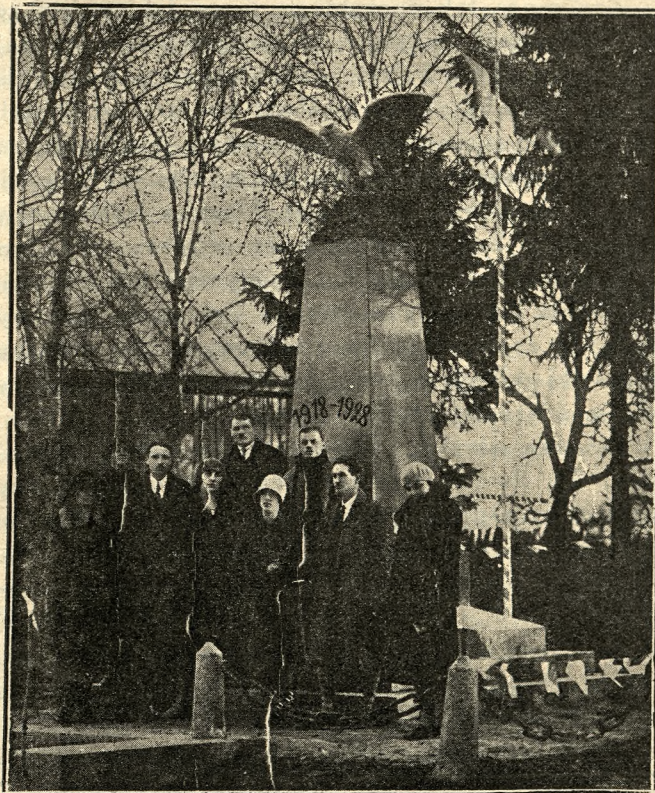
Księdzu Proboszczowi Ignacemu Loyoli Dubowskiemu, późniejszemu Biskupowi, udawało się, jakoś, dzięki dobrym stosunkom z Gubernatorem w Żytomierzu, bronić szkoły przed „donosami“, lub złością czarnej sotni, i szkoła nie tylko istniała, lecz się wciąż rozszerzała, niosąc ciemnym masom tchnienie polskości. Starsza młodzież korecka, która kończyła gimnazja rosyjskie w Żytomierzu, Ostrogu, Równem—utworzyła w Korcu kółko samokształcenia. „Mrówki“ pi-

sały referaty, czytały dzieła mistrzów Polski i zbierały się, rzekomo, na „Pączki“, by szerszemu społeczeństwu polskiemu w Korcu udzielić swych myśli, lub umilić czas polską deklamacją. Obawa, czy żandarm nie wkroczy do cichego domku „na Marynkach“ w chwili, gdy tam mówiono o zasługach Kollataja, lub deklamowano „Resurrecturis“, — odstraszała tylko jednostki.

A potem... szła radość, gdy w kościele zaśpiewano po raz pierwszy hymn polski; a potem — łzy rozrzewnienia na widok błękitnej armii Hallera, na głos żołnierza polskiego i—tembardziej wytężona, już jawnie polska praca w szkole, a jako finał — cud zmartwychwstania Ojczyzny.

Po ochłonięciu z wrażeń przeżytych chwil—straszných, jak zmora, pięknych, jak zjawia nieziemska, — następuje cicha, zrównoważona praca w towarzystwach kulturalno - oświatowych. Macierz Szkolna w naszym mieście datuje swe założenie od 1915 r. Szczupła garstka w niej pracowała; jednak, nim Rząd polski zdołał rozrzucić sieć swych szkół, już pięć wsi okolicznych otrzymało nauczycielki, przygotowane metodycznie na kursie wakacyjnym Macierzy w Korcu; już język polski zyskuje powoli prawo obywatelstwa wśród polaków, narodowo nieuświadomionych, dla których szkoła polska była czemś niezwykłym, a mowa polska brzmiała tylko w kościele. Dwie z wyżej wymienionych wsi zabrane zostały przez Bolszewję, lecz w umysłach ich mieszkańców przeblyska dotąd wspomnienie pierwszych promieni, rzuconych przez powstającą Ojczyznę, które, niestety, tak szybko dla nich zagasły.

Wiele dzieci polskich z narażeniem życia przestało się wkrótce z za kordonu do Korca, by tylko



Orzeł ufundowany przez młodzież szkół Koreckich, jako pamiątkę 10.ciolecia Niepodległości Polski

uciec od deprawujących ochron i szkół sowieckich. Dzieci te znalazły miejsce i macierzyńskie serce w Bur-sie Macierzy, a naukę w polskich szkołach.

Dzięki Towarzystwu pomocy dzieciom z Kresów, wielu z tej młodzieży kończy dziś naukę na Pomorzu, a związani serdecznymi węzłami z Korcem, piszą długie listy do swych opiekunek.

We wszystkich powyższych pracach na terenie naszego zakątka kresowego przodowały kobiety, lub brały w nich bardzo czynny udział; najczęściej jednak pracowały i pracują jednostki: ogół odnosi się nieraz krytycznie lub obojętnie, tam, gdzie dopiero akcja zbiorowa dałaby pokaźne rezultaty.

Kiedyż przekonają się wszyscy, że praca społeczna to nietylko wkładka pieniężna, którą dać względnie łatwo, to nietylko chwila wolnego czasu, poświęcona społeczeństwu—to obowiązek ścisły każdej uświadomionej jednostki, to ręka, która spełnić go winna, nawet z pewną ze swej strony ofiarą!

Cieszę się z powstania „Naszej Mównicy“, bo może nieraz wypadnie nam, odciętym od szerszego świata, zasięgnąć rady, szukać pomocy w naszych zamierzeniach, u tych, co życie swe trawia na pracy dla ogółu, co posiadają pod tym względem doświadczenie i wiedzę. Dziś, na przykład, jesteśmy w przededniu otwarcia przedszkola przez Koło miejscowej Macierzy Szkolnej; może więc kwestja ta, żywo nas dziś interesująca, znajdzie oddźwięk wśród Czytelniczek „Bluszczu“ i pozwoli nam skorzystać z rad osób kompetentnych, a to da nam możliwość lepiej i owocniej pracować dla Ojczyzny w dalekim zakątku pogranicznym, jakim jest nasz Korzec.

Stefanja Dawiskibówna — Przemyśl.

Zapomocą tak poczytnego pisma, jakim jest tygodnik „Bluszc“, wiedząc, że dochodzi ono do najdalszych zakątków Polski, pragnęłabym podzielić się z miłemi Czytelniczkami myślami swojemi w sprawie pracy ideowo-społecznej, połączonej z wychowaniem fizycznym. Pragnęłabym dowiedzieć się, jak One się zapatrują na powyższą kwestję. Mam na myśli osoby, przebywające bądźto stale, bądź okresowo na prowincji, gdzie często życie jest uspione, a gdzie można je ożywić w kierunku dodatnim. Człowiek, przyzwyczajony do życia miejskiego, rzucony w ciszę wiejską, nieraz setki mil od rodziny, często nie może przyzwyczaić się do takiej zmiany.

Zimowy wieczór. Jakaś tęsknota zdaje się snuć wokoło. Na dworze wichura, deszcz dzwoni o szyby. Wicher jęczy pogrzebowo, smętnie... Jęk wichru, szum nagich gałęzi drzew, cisza w pokoju—dziwnie nieraz

uspósabiają człowieka. Smutno. Czem zapobiec nostalgji? Pracą i jeszcze raz pracą!

Wiele z nas należy do klubów sportowych, do organizacji sokolich. Wiemy, jaka idea łączy nas wszystkie. Wiemy, jaka to duchowa przyjemność i wewnętrzne zadowolenie z życia. Twórzmy kobiece organizacje sokole! Jakaż w nich wzniosła idea! Praca dla Młodej Polski, dla Jej dobra, a tem samem—naszego własnego. Czyż tylko osobiste przyjemności przynoszą szczęście? Nie! bo wówczas człowiek staje się egoistą, a egoizm szczęścia nie przynosi, nie daje pogody ducha. Wszak bez tych dwóch abstrakcyjnych czynników życie nie ma żadnego uroku. Połączmy hasła: Ciało ćwicz! Ojczyźnie służ!—Obchody, szumne okrzyki, śpiewy—nie dadzą Ojczyźnie nic, skoro nie poprzemy haseł czynami!

Następnie pragnęłabym zapropagować ideę sportu. Wiemy, że zdrowie, to skarb człowieka. Trwonimy ten skarb, nie oceniamy. Dopiero po stracie poznajemy jego istotną wartość. Tak, ale czy poświęcamy choć chwilę czasu dla tego zdrowia?

Zdaje się, że nie. A warto zastanowić się nad tem.

Powietrze, słońce—to bezpłatne dary, z których każdy może korzystać dowolnie! Ruch na świeżem powietrzu, gimnastyka, dopełniają swego. Na tle cudnej przyrody, wśród uroczych łąk, pól i lasów hartujmy swe ciało, ćwiczmy je! Nie zważajmy na upał, na zimno, na mróz. Dla zdrowych zmiany pogody nie istnieją! Ot i teraz, na przykład. Zima. Jaka wyśmienita pora do sportów! Narty, sanna, ślizgawka, a nawet ten najniewinniejszy ze sportów, sport pieszy—jak dodatnio wpływają na organizm i psychikę człowieka.

Wokoło niepokalana biel. Okieście śniegu, jak drogie kamienie, skrzą się na ciemnej zieleni świerków. Cisza... Dostojny majestat przyrody. Znikają tu wszelkie troski, wszelkie smutki. Zapomina się o wszystkim.

My, dzisiejsze kobiety, zwolenniczki sportu, szerzymy jego ideę we wszystkich miejscowościach Polski. Organizujemy kluby sportowe, bodaj małe, bodaj z kilku osób początkowo się składające. Nie zrażajmy się małą ilością członków. Nie!—niech tylko znajdzie się wiele instruktorek, założycielek, które z entuzjazmem zabiorą się do pracy, to i z małej ilości, z każdej prowincji wytworzy się spory legion, którego centrem będzie jedna obrona miejscowość, mogąca mieć główny zarząd, zwołujący zjazdy.

Wstępujcie do naszych organizacji, Pp. Studentki, Nauczycielki, Urzędniczki, Ziemianki! Ofiarujcie Swe siły dla dobra publicznego! Łączcie się w organizacje „Sokolic polskich“. Niech wzniosła idea połączy nas, a hasło: „Wszystko dla Ciebie, Polsko, i dla Twojej Chwały“ niech będzie naszym przewodnikiem!

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.00 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW (narvelna) i MARIA PODHORSKA OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymska o. tel. 244-18.